

Dariusz Regulski

# Ewka

Ridero  
2017

*Korektor:* Adam Liszka

© Dariusz Regulski, 2017

© Jan Wójcik, projekt okładki, 2017

© Jean Schmean, ilustracje, 2017

ISBN 978-83-8126-323-8

*Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero*

# Spis treści

Ze środka lub końca .....	6
„Zejdźcie mi z drogi” .....	12
Wielkich artystów doceniamy, gdy kogoś zabiją .....	15
Trybunał Konstytucyjny niszczy marzenia .....	19
Śledzie wygrywają z truskawkami .....	22
Wszystko przez miłość .....	25
Moja żona miała na drugie »Pomyłka« .....	27
Szamani, komuniści i złodzieje .....	31
Zbuduję domek na drzewie .....	34
Jakoś leci ale tak naprawdę stoi .....	40
Przez siebie .....	43
Nikt stamtąd nie wrócił .....	52
...choć zawsze było ich niewielu (...) .....	56
Wszystko dzieje się w głowie .....	59
Światła zbyt często się zmieniają .....	62
Granice .....	67
Zamknij drzwi i nigdy tu nie wracaj .....	72
Spokój? .....	78
Posłowie .....	79



*Obraz powraca. W środku nocy. Wszystko  
wydaje się jaskrawe. Tak świeże, niezagojone,  
niespokojne. Nie można nic z tym zrobić, niczego  
zmienić, nie można zawrócić biegu zdarzeń.  
Rozlana na jezdni kałuża zastygłej krwi, a w tej  
kałuży kwiat róży. Zwiędła czerwień zlewała się  
z martwą czerwienią zaschniętej posoki. W tym  
dniu dałem Ci różę. Nigdy nie dawałem Ci  
kwiatów, a akurat w tym dniu musiałem.  
I co najlepszego zrobiłem?*

# Ze środka lub końca

Światło

Doktor Szczypior obudził się o godzinie 7. Chociaż właściwie obudziła go żona, Pani Szczypiorowa Jolanta. Obudziła głosem tak subtelnym i świeżym, jak rosyjska łaźnia w czasie oblężenia.

— Szczypiorrr! Wstawaj do roboty!

Żona otworzyła okno w sypialni na oścież. Do środka wleciał chłodny wiatr, z daleka odgłosy budzącego się ocieżale miasta. Tak samo i on budził się każdego dnia. Trudno jest schodzić na ziemię.

— Nie chce mi się żyć...

— Co?

— Tak się cieszę, że Cię widzę, Kochanie!

— Naprawdę?

Kłamał. Od osiemnastu lat, od kiedy budził się obok niej, patrzył na nią, siedział przy stole rodzinnym, związany przysięgą, kilkoma słowami, które odbijają się cieniem na przyszłości, a przeszłość stawiają tam, gdzie miejsce przeszłości. W ciemnościach.

Szczypior cierpiał. W zasadzie — dlaczego?

— *Przecież Ty najlepiej powinienes to wiedzieć!*

— *Dlaczego ja?*

— *Zazwyczaj pisarze, czy poeci siadają za biurkiem po dziadku Edwardzie z zamiarem stworzenia wiekopomnego dzieła. Jednak często jest tak, że na pomysł się kończy.*

- *Bo siedzisz przed pustą kartką i nie możesz ułożyć ani jednego zdania. Znam to uczucie. Przerabiałem to wielokrotnie.*
- *Właśnie takie jest to nasze życie.*
- *Wiekopomne dzieło, które nigdy nie powstanie.*

Kolejna kartka z kalendarza zdarta. Tak oto rozpoczynał się każdy dzień, w środku lub na końcu życia.

Na początku poranna toaleta. Szczypior zmył z siebie pot senny i brud. Rytualne oczyszczenie. Później rytuał śniadania. Wspólnego (psia mać!) posiłku. Bułka z masłem i żona z papilotami na głowie. Bułka mogłaby zostać, ale żona...

Szczypior nigdy nie odważył się powiedzieć żonie całej prawdy. Nigdy nie wyjawiał przed nią tego, co naprawdę czuł. Wiedział doskonale, że to skończyłoby się rozwodem. Rozwód mógłby stanowić jakieś wyjście, lecz Szczypior był już za stary na chodzenie po sądach, rozprawy, oskarżenia, podziały majątków, podziały win, intencji dobrych i złych. Nie chciał.

Teraz do stołu dosiadła się szminkowa córka, Emilia. Odbicie lustrzane matki. Tylko papilotów jej brakuje. Ale na wszystko przyjdzie jeszcze czas.

— Pięknie wyglądasz, córeczko!

— No... — oczy jej wbite w ekran smartfona, który na co dzień wciągał ją i zabierał w smart-świat, a on już nie wiedział jak wyciągnąć ją ze smart-świata i jak z nią rozmawiać i czy w ogóle potrafi ona rozmawiać, mówić, czy zna jakikolwiek język poza swoim »smart językiem«.

Nigdy nie odważył się powiedzieć córce, że nie podobają mu się jej oceny i zachowanie. Nigdy nie odważył się powiedzieć córce, że nienawidzi, kiedy o czwartej nad ranem wraca pijana, albo kiedy w ogóle nie wraca na noc. Nigdy nie odważył się powiedzieć córce, że nie pochwała palenia w domu i tego, że zmienia chłopaków średnio co dwa tygodnie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że popychał tym samym córkę na dno, może jeszcze bardziej niż na dno popychało ją towarzystwo, w którym tkwiła

i z którego nie potrafiła się uwolnić. Szczypior mógłby być może coś na to zaradzić, lecz...

Kobiecy głos z radia oznajmił, że marzec może być wyjątkowo zimny i nie ma póki co oczekiwać rychłego przyjścia wiosny. Oto rozpoczynał się kolejny dzień ze środka lub końca życia.

| „A gdyby tak dzisiaj zrobić coś zupełnie inaczej?”

— Ojciec, daj dwie stówy na leginsy!

— Nie.

— Co?

— Szczypiorrr! — krzyczy żona — Co Ty gadasz wogóle?!

— Gadam, że nie. Po prostu, po krzywo, po przekątnej, nie. Nie zgadzam się. Jestem ojcem. A wiecie, kto to jest ojciec? Na pewno ojciec to nie jest dojna krowa, którą się doi z pieniędzy!

— Ale wszystkie dziewczyny z mojej klasy noszą leginsy. Elka, Helka, Andżela, Mariolka...

— I leginsy, te głupie gacie, które i tak wyrzucisz po tygodniu są aktualnie Twoim środkiem wszechświata, Twoim pragnieniem, pożądaniem...

— Matka — powiedz coś ojcu.

— Szczypiorrr...

— Zamknąć się! — pierwszy raz podczas rodzinnego śniadania to on opieprzał, a nie był opieprzany — To teraz ja wam coś powiem. Nigdy żadna z was nie przychodziła do mnie, nie pytała „Co u Ciebie?”, „Jak się czujesz?”, „Czy w pracy wszystko dobrze?”. Tylko ZAWSZE chodziło o dojenie. Szczypior — daj na nową kieckę (choć i tak w szafie nie ma już miejsca na nowe szmaty). Szczypior daj na kosmetyki (jakby mogły Ci w czymś jeszcze pomóc). Szczypior, daj na kino, bo wychodzę wieczorem z chłopakiem (którego najdalej za dwa tygodnie rzucę, bo nie pasowaliśmy do siebie). Ciągłe tylko DAJ! DAJ! DAJ! To teraz ja was o coś poproszę. DAJCIE MI WSZYSCY ŚWIĘTY SPOKÓJ!

Tym oto radosnym akcentem Szczypior zakończył to nadzwyczajne, przełomowe w jego życiu śniadanie. Jakże jedno śniadanie może odmienić czło-



wieka! Kulący się przed żoną i córką — Pantofel, zmienił się nagle w Króla Szczypiora I Niepokornego. Wygrana bitwa. Nie wojna.

— Jeszcze raz taki numer, Ty skurwysynu, to spotkamy się u adwokata! — czule pożegnała Szczypiora jego żona, kiedy ten właśnie wychodził z domu do pracy.

— Być może spotkamy się szybciej niż myślisz. Oby, oby...

Po tak udanym śniadaniu, Szczypior postanowił kontynuować swój misterny plan zrobienia czegoś inaczej. Przez lata odkładał pieniądze. Nie wiedział na co, po co, nie wiedział nawet ile pieniędzy znajduje się w jego tajemniczej skrytce. Zazwyczaj ludzie odkładają na nowy samochód, lodówkę, pralkę, telewizor, studia dla dziecka, lecz Szczypior nie miał tak wielkich ambicji. Prawdę mówiąc nie miał wcale planów na przyszłość, bo widział ją jako wielką czarną plamę, a pieniądze, które przez lata ukrywał skrzętnie i o istnieniu których tylko on wiedział po prostu były. Były tylko jego i mógł zrobić z nimi co chciał. Właśnie ta świadomość posiadania czegoś jedynie dla siebie i do własnej dyspozycji, sprawiała, że było mu trochę lżej na duchu. Ostatnio jednak zaczął myśleć o tym nieco inaczej.

*„Pieniądzy trzeba się pozbyć. Wydać jednego dnia, wyrzucić albo wręczyć komuś naprawdę potrzebującemu. Biedakowi, pijakowi, nieuleczalnie chorej sierocie, byleby się pozbyć.”*

Tak więc tego ranka, schodząc do piwnicy, dzierżył w dłoni młotek. W piwnicy na ścianie wisiał obrazek, przedstawiający dziewczynę w bieli. Szczypior zdjął go i za pomocą młotka uderzył mocno w puste już miejsce. Z łatwością przyszło mu wydrążenie dziury, przez którą niepewnie zajrzał, a oczom jego ukazało się czarne plastikowe pudełko z podobizną marynarza na wieku.

Chwila napięcia. Może Szczypiorowa dobrała się do pudełka i on niczego już tam nie znajdzie? Zrozumiał jednak, że te obawy są absurdalne, gdyż jego żona owszem potrafi grać na nerwach, ale nie jest na tyle inteligentna aby czytać w jego myślach. Otworzył wieko i wtedy odetchnął z ulgą.

— Przynajmniej coś raz dobrze zrobileś w życiu! — przyznał z satysfakcją.

W garażu na Szczypiora czekał kredytowy, niebieski samochód. Nienawidził go. Najchętniej pojechałby do pracy autobusem, bo nie ma dla niego znaczenia, czy tkwi w korku jadąc samochodem, czy autobusem. Ale przecież kto to widział czterdziestoparoletniego faceta, który nie ma samochodu? Szczypior nigdy nie chciał mieć samochodu. Nigdy nie chciał mieć żony, Jolanty. W dodatku zamiast chłopcem (tak wymarzony przez Szczypiora) Opatrzność obdarzyła go córką. Równie wredną i brzydką, jak jej matka. Tak naprawdę Szczypior do wszystkiego został zmuszony.

— Wiesz czego najbardziej żałuję?

— Czego?

— Tego, że kiedy miałem jeszcze wybór i mogłem decydować o swoim życiu, wolalem bać się rodziców, otoczenia, zwinąć się w kłębek i powiedzieć światu „Dobrze — możesz teraz zrobić ze mną, co zechcesz!”.

— Zawsze można wszystko zmienić...

— Wiesz, w pewnym momencie swojego życia nie można nic zmienić. Kiedy masz dwadzieścia lat, jedno niepowodzenie jest niczym. Możesz to brać, jako wyzwanie, płot, który można przeskoczyć. Nadal jednak masz wszystko przed sobą. Walczysz. Dziesięć lat później takie niepowodzenie staje się dużo większym problemem i trudniej sobie z nim poradzić. Jednak walczysz nadal. Dziesięć lat później, ten problem przybiera tak wielkich rozmiarów, że z płotu urasta do muru, którego nie sposób pokonać...

— Ale o co Ci tak naprawdę chodzi? Przecież Ty masz wszystko, co normalny człowiek chciałby mieć. Nie rozumiem.

No właśnie.

Szczypior stanął oko w oko z niebieską machiną. W pewnym momencie zrozumiał, że nic nie wie. Nie ma pomysłu. Pustka.

— Co mam teraz robić?

— Życ, Kochany... — szepcze znajomy głos. I znika.

— Zawsze musisz odchodzić tak nagle?

Lecz w tym momencie uświadomił sobie, że odchodzenie Ewy jest tylko i wyłącznie jego winą. Że to on zabił Ewę. I jeszcze bardziej nienawdził siebie, papilocianej żony, szminkowej córki i niebieskiego samochodu.

# „Zejdźcie mi z drogi”

W drodze do pracy Szczypior myślał o jego nowej książce, która nigdy nie zostanie dokończona. Nie zostanie dokończona, z trzech powodów.

Pierwszy — nie ma po co i dla kogo pisać.

Drugi — praca wypala twórczo (może rzucić pracę?)

Trzeci — brak pomysłów.

Książka zatytułowana »Uciekinierzy«. Kiedy opublikował jej fragmenty w internecie (wielkiej sieci, w którą można się złapać na amen), spotkał się z wielką falą krytyki, która jeszcze bardziej utwierdziła go w przekonaniu, że lepiej nie pisać. Lepiej przerwucić się na wędkarstwo.

Odważny anonim.com:

*„Zupełnie nic nie rozumiem. Pseudointeligencki belkot. Pretensjonalny. Brak dwóch przecinków i pięciu myślników (myśl, baranie!), gorzkie żale skrzywdzonego przez świat chłopca. Nikogo nie interesują przemyślenia. Chuj. Nie literatura. Lepsze wędkarstwo. Wszystkiego nie najlepszego”.*

Szczypior pomyślał, że dobrym pomysłem byłoby rzucenie pracy i pisanie książek o sadomasochistycznych związkach, czy prostytutkach. Może nawet na kanwie jego powieści powstałby kasowy hit, obsypany nagrodami, a on sam zapisałby się tym samym złotymi zgłoskami w historii literatury światowej.

Szczypior, przepychając się przez nieskończone, samochodowy zator, usłyszał w informacjach Radia Mało Fajnego o człowieku w białej koszuli, który pobił trzech arabów i zabił jednego faszystę, po czym uciekł, a policja nie mogła i nadal nie może poradzić sobie z jego złapaniem. Biało-

koszulowy mężczyzna uzbrojony był w kij bejsbolowy. Szczypior przypomina sobie film „Upadek”, w którym znerwicowany i zdesperowany mężczyzna próbuje zobaczyć się z córką w dniu jej urodzin, jednak wszyscy mu w tym przeszkadzają. Nie pozostaje mu nic innego, jak potraktowanie złośliwych przeszkadzaczy śrutem i kijem bejsbolowym, aby wytłumaczyć im wyraźnie znaczenie słów „Zejdźcie mi z drogi”.

Nagle w Szczypiorze obudziło się wielkie pragnienie potraktowania kogoś śrutem lub kijem — chociaż jedno uderzenie, uderzonko, małe, nic nie znaczące. Lecz całe pragnienie wygasa. Stwierdził, że jest to zły pomysł, bo przecież w „Upadku” mężczyzna miał powód. Szedł do jedynej osoby na świecie, dla której coś znaczył. Szczypior nikogo takiego nie miał. To znaczy — kiedyś miał. Ale to już przeszłość.

Szczypior w pracy. Co znaczyła praca dla Szczypiora?

— Właściwie to — pyta Chantal — Dlaczego psychiatria?

— Zawsze intrygował mnie obłąd. Skrajny obłąd, którego nie da się wyleczyć, a który można stłumić poprzez farmakologię. Czytałem bardzo wiele książek na ten temat, lecz w pierwszym dniu funkcjonowania w szpitalu, zobaczyłem obłąd i rozumiałem, że wszystkie te książki można spalić, że to jest nic, że ja obłądu muszę się nauczyć. I to mnie niebezpiecznie wciągnęło. Zastawiło na mnie pułapkę, z której nie mogę się teraz uwolnić.

W domu wszystkie pokoje są jednakowe. Małe. Łóżko, krzesło. Krzesło przymocowane do ziemi, na wszelki wypadek. Ściany szare. Raj dla klaustrofobików. Przebywanie w pokoju szpitalnym przypomina proces fermentacji w puszcze konserwowej. Kiszzenie ryb w beczce. Uczucia i emocje kiszą się, fermentują w domu. Człowiek jest konserwowany, konsekrowany za życia, wewnątrz. Krzyczy, piszczy, wrzeszczy, wali pięściami w szare ściany. Drapie się do krwi. Rozdrapuje rany. Przygryza język. Wytrzeszcza oczy. Płacze ze szczęścia, raduje się z płaczu. Dziwactwo.

Dalej w radiu podana została wiadomość o śmierci Andrzeja Ż. — ulubionego pisarza Szczypiora. Dziwna to śmierć. Artysta umiera, ale jego dzieła

zostają, przez co on jakby żyje nadal. Pogrąża się tylko w wiecznym braku weny, a wieczny brak weny spowodowany jest brakiem życiowej iskry. Szczypior wspominał z rozrzewnieniem pierwsze spotkanie z Andrzejem Ż. W kawiarni „Chaos”, gdzie miał się odbyć wieczór literacki pisarza. Ż zjawiał się kilka godzin wcześniej i Szczypior rozmawiał z nim jak uczeń z mistrzem. Później Szczypior spotykał się z mistrzem, nabywając jego nowe książki. W tej ostatniej przeczytał: „Czuję, że zaraz to wszystko się skończy”. Szczypior stojąc w korku stwierdził, że wszyscy poważni ludzie wychodzą tylnymi drzwiami, wyprasając się z tej wątpliwej imprezy. W barze „Życie” zaraz zamykają.

# Wielkich artystów doceniamy, gdy kogoś zabiją

W pracy oznajmili Szczypiorowi, że się spóźnił. Szczypior nieudolnie próbował tłumaczyć:

- Stałem w korku.
- Od szampana? — zapytała doktor Elżbieta, która nigdy nie ukrywała niechęci wobec Szczypiora.
- W korku, który zagradza nam drogę do prawdziwego życia. Stoję w nim już dwadzieścia lat i nie mogę jeszcze ruszyć.
- Skończ pieprzyć. Świry czekają.
- Chorzy.
- Chory to Ty jesteś. Na życie.

Szczypior mógłby wjechać na czwarte piętro windą, ale za dużo naoglądał się filmów, w których ktoś zatrzaskuje się w windzie i w niej musi walczyć o życie. Doktor Szczypior musiał walczyć o życie bez zatrzaskiwania się w windzie, więc wszedł na czwarte piętro po schodach, dochodząc do wniosku, że kiedyś taki dystans pokonywał szybciej. Teraz tylko szybko się męczył. Czyżby starość zapukała nieśmiało do drzwi?

Pokój 44. Materiał badawczy był seryjnym mordercą. Szczypior uwielbiał swoją pracę, gdyż dzięki niej poznawał ciekawe osobowości. Seryjny morderca śmiał się w łzawe twarze rodzin swych ofiar. Obecnie czekał na obserwacje, badania, wyniki, a potem?

W mieszkaniu Szczypiora policjanci znaleźli cały karton notatek, strzępków, chaotycznych, urywanych papierów, nieczytelnych, bełkotliwych, bezskładnych.

*„A jednak nawet takiemu socjopacie jak mnie potrzebna jest ta ohydna kupa mięsa, żyłek, nerwów, krwi, kości i uczuć wyższych w postaci drugiego człowieka. Tymczasem moja niby-żona, niby- córka, niby-rodzina i inne równie niby-istoty człekokształtne i niby- sprawy, które jakimś cudem mnie tu trzymają, a kiedyś puszczą”.*

Najmilsza dla Szczypiora w tym mieście była Chantal. Chantal właściwie nosiła inne imię, ale Szczypior bał się zapytać o jej prawdziwe. A więc pozostawała Chantal. Była ona piękną, niską, promienną kelnerką z długimi, kruczoczarnymi włosami. Pracowała w restauracji „Violette”, gdzie Szczypior po pracy udawał się na bliskie spotkanie z kawą. Chantal zazwyczaj podawała Szczypiorowi kubek z kawą. Tylko z jej ręki smakowała kawa. Szczypior stwierdził, że nawet jeśli Chantal dosypałaby trucizny do kawy, on i tak wypiłby ją z namaszczeniem. Całą zawartość. Nazywa się to obsesja. Obsesja na punkcie Chantal.

Pewnego dnia w mieście ujrzał ją, kiedy przeglądał na słupie ogłoszeniowym premiery kinowe (nie ciekawego nie grają!). Ujrzał ją w czarnym płaszczu, dumną ze swej kobiecości, pewną, szlachetną. Niczym nie przypominała drobnej, skromnej kelnerki z „Violette”.

Wtedy na błysk, mrugnięcie chwili spotkały się ich pary oczu. Chantal poznała go. Wydawało się Szczypiorowi, że poznanie sprawia Chantal ogromną przyjemność. I gdyby jego dusza i on sam był młodszy o lat dwadzieścia, znów nosił dżinsy, długie włosy, a jego brzuch nie był tak wydęty od nadmiaru jedzenia i stresu — mógłby powiedzieć Chantal wszystko.

Tymczasem żona, córka, praca, niebieski samochód, kredyt, dom. Szczypior oglądał oczyma wyobraźni złotą Chantal odlatującą z nieopierzonym wróblem.



Chory Numer 44 wyglądał blade. Zgaszony, pogodzony z losem, gruźlik. Kiedy Szczypior ujrzał 44, przypomniał sobie ostatnie zdjęcie Szopena. Zadziwiło go, że ktoś o podobnej gruźliczej i wątlej aparycji mógłby odważyć się posłać człowieka w zaświaty. Chociaż podobno u artystów przejawiają się skłonności psychopatyczne. Bardziej narwani artyści marzą aby kogoś chociaż raz w życiu zabić. Przeceniają jednak swoje możliwości, bo pragną pozbawić życia osobników silniejszych (zarówno psychicznie, jak i fizycznie). Szczypior również czuł potrzebę zabijania, chociaż sam artystą nie był. Co gorsza — na pierwszym miejscu listy materiału doodstrzałowego znajdowali się jego rodzice. Ohydni, prymitywni rodzice z mięsem zamiast mózgow. Tacy rodzice, którzy wiedzą jakie szczęście dla dziecka będzie szczęśliwe. Szczęście stworzone przez nich. Rodzice noszący okulary na kamiennych nosach. Kamienne twarze rodziców prześladowały Szczypiora po nocach.

*„Rodzic, to taki twórca, który niszczy to, co kocha. Rodzice zniszczyli moje wewnętrzne JA i posadzili zamiast tego JA, nie będąc mną. Nie mogłem nic im na to powiedzieć. Przy nich jąkałem się zawsze. Jąkałem, jąkam i jąkać się będę do końca swoich dni. Rodzice zawsze będą przy swoim jąkale. Nierozłącznie!”*

Szczypior zapytał Kędzierzawego:

— Jak się Pan czuje?

— Dziwne pytanie.

— Zwyczajne, Panie... — Szczypior przypomniał sobie w tym momencie, że nie zna imienia chorego na świat.

— Nazywam się Dariusz Regulski.

— Regulski... — Szczypior słyszał to nazwisko, znał je dobrze z księgań, bo nabywał powieści Regulskiego — Czy ma Pan coś wspólnego z tym filozoficzno — historycznym pisarzem?

— Jestem nim.

— Ale...

— Nie wiem sam jak się czuję. Czasem często jest tak, jakbym nic nie czuł. Pustka zupełna. Null, nicłość...

— Pan zabił... ale dlaczego?

— Krytykantów. Bo ucieli mi skrzydła. Ja więc uciąłem im głowy!  
— To znaczy, krytyków?  
— Krytykantów. Oni różnią się od krytyków. Krytycy piszą i źle i dobrze. Krytykanci zawsze piszą o wszystkim i wszystkich źle. Muszą.  
— A więc zabił Pan krytykantów za złe recenzje Pańskiej książki?  
— W zasadzie kiedy się nad tym dłużej zastanowić, to może mieli rację. Może faktycznie moja twórczość to pseudointelektualna papka?!  
— Zupełnie tego nie rozumiem. Przecież ta Pana nowa powieść jest świetna!  
— Co Pan mówi?  
— Wręcz doskonała! Zupełnie oryginalna.  
— Miło mi — uśmiechnął się Regulski — Najwspanialsze jest jednak to, że po tych morderstwach moja książka sprzedaje się wybornie! Bije wszelkie rekordy, a nawet chcą mi dać za nią specjalną nagrodę!  
— Chociaż tyle — Szczypior przyznał, że Regulski jest całkowicie usprawiedliwiony. Artysta morderca, jest podwójnym artystą. Modli się dwa razy.

*„Myślę, że artysta powinien zabijać co najmniej dziesięciu krytykantów dziennie. Którzy w okularach, dłubiąc w nosie przy ekranie komputera zacierają ręce i klepią w klawiaturę oszczerstwa, lawinę, strumień bezświadomości. Potem proszą matki i babki, żeby im zrobiły kanapkę z szynką. Którą oczywiście tradycyjnie skrytykantują. Muchy i pasożyty”.*

Regulski poprosił Szczypiora o codzienne przynoszenie pączka i herbaty z jadem błękitnym. Po spożyciu pączka i wypiciu połowy filiżanki herbaty Dariusz mógł spać. Szczypior zobowiązał się również dostarczyć choremu gramofon i płyty z kakofoniczną muzyką dla Filharmonii. Może być również jazz.

# Trybunał Konstytucyjny niszczy marzenia

Na korytarzu odbiornik telewizyjny. Informacje w dzienniku. Redaktor po raz dwieście trzydziesty ósmy wypowiedział słowa „Trybunał Konstytucyjny”. Szczypiorowi zdawało się, że już nie może.

*„Ta kocha, która wyciąga dłoń”.*

Szczypior zapragnął zapalić. Z nerwów zapalić. Powiedział do doktora Fajkowskiego.

— Muszę się odtlenić.

— Dobrze. Ale nie pal, bo paląc papierosy, palisz swoje ciało. Jedyne dom, jaki masz — odpowiedział Fajkowski, który mógłby być kaznodzieją.

— Mój dom, to popiół i zgliszcza tylko — Szczypior wziął papierosa i opuścił chwilowo mury szpitala.

Za szpitalem był park. W parku trzy wyblakłe, niemalowane, blade zielone ławki postawione obok siebie. Szczypior usiadł na jednej z nich. Zapalił papierosa. Spojrzał na błękitną płachtę nieba, spowitego mlecznymi łatami i wydmuchał dym. W chmurach dymu pojawiło się to, co dla Szczypiora najcenniejsze. Wspomnienia. Jedyne w jego życiu perły na dnie wysypiska impresyjnych śmieci w pamięci. Wszystkie związane z Ewką. Jego pierwszą i ostatnią. W centrum wszystkiego.

*„Szcypior we mnie siada każdego dnia na ławce w parku i czeka i myśli i czeka i ma nadzieję bez nadziei, że przyjdiesz kiedyś i usiądziesz obok. Moja łza, którą upuszczam z bezkresnego worka żalu, będzie oznaką pamięci i hołdem dla Ciebie. Abym nigdy nie zapomniał, że kiedyś naprawdę byłem. Bo jakże inaczej można być jak nie przez kogoś? Jak nie przez Ciebie?”*

Pierwsze wspomnienie to jedna, najdłuższa noc w mieszkaniu Ewy. Byli wtedy młodzi, wystraszeni, niewinni. Półnaga Ewa czytała wiersze Szcypiora. Mleczna, aksamitna, życiopelna. Czerni i biel mieszały się w niej. Kawa z mlekiem. Miód zalał cały świat.

Szcypior był młodym pacyfistą o długich włosach i poszarpanych dzinsach. Taka była wtedy moda. Teraz młodzi chodzą w spodniach przypominających rajtuzy (rurki?). Brak im ekspresji, twardości uczuć. A przecież Ewa i on mieli to wszystko. Gdzie wszystko ucieka?

— Ta kocha, która wyciąga dłoń — czytała Ewa — Tę kochasz, której wszystko wybaczysz.

— Miłość.

— Co to jest miłość? — zapytały malinowe, prowokujące usta Ewy.

— Miłość jest wtedy, kiedy nie kuleje się przy drugiej osobie.

— Piękne Twoje wiersze — Ewa przewracała kartki niebieskiego, wierszowego zeszytu z zachwytem — Jeśli chcesz, mogę być Twoją pierwszą muzą. Chcesz?

— Pierwszą i ostatnią.

Pocałunek. Ewa powiedziała:

— Czasem myślę o przyszłości. Co nas czeka jutro... za rok... za parę lat.

— Będzie tak, jak teraz!

— Mogę Cię o coś zapytać?

— Tak.

— Nigdy nie kupujesz mi kwiatów. Oczywiście, nie bierz tego, jako zarzut. Po prostu, jestem ciekawa... nie lubisz ich?

— To nie jest tak, że nie lubię. One po prostu źle mi się kojarzą. Może

to głupie, ale być może kwiaty powinniśmy dawać tylko zmarłym, na pogrzebie...

— Dosyć! — Ewka zasłoniła jego usta ciepłą dłonią — Nie chcę słyszeć nic o śmierci i pogrzebach. Sprawię, że przy mnie pokochasz kwiaty!

Pocałunek.

— A za parę lat... Chcesz mieć dzieci?

— Chłopca. Będzie tak piękny, jak Ty i uzdolniony, jak ja.

— A więc chłopiec... mały domek, najlepiej na wsi, z dala od cywilizacji... mały ogródek z warzywkami, owocami i kwiatami, małe łóżko dla naszego intymnego świata... i nasza wielka miłość!

Ewa miała głos marzący. Była jednym wielkim marzeniem. Pocałunek.

— Szczypior, do kurwy nędzy! — Doktor Wójcik wybudził go skutecznie z mlecznego snu — Na jakim Ty świecie żyjesz?

— Na złym świecie.

— Słuchaj — powiedział Wójcik — Gównu mnie obchodzi, co dzieje się z Twoją głową, ale jest taka sytuacja, że Malinowska odgryzła sobie język...

— A cóż mnie to obchodzi? To mój język?

— Ty jesteś totalnie popierdolony! Wiesz co, to Ciebie trzeba leczyć, a nie żebyś Ty jeszcze...

— Dopadł mnie kryzys — Szczypior spojrział na Wójcika z dziecinną naiwnością, jakby ten był go w stanie zrozumieć.

— Chyba kryzys mózgu!

— To też... co z tą Malinowską?

# Śledzie wygrywają z truskawkami

Zanim Malinowska odgryzła sobie język, mówiła dużo o Bogu. O miłości Boga do Niej i odwrotnie. Jednak to nie miłość boża doprowadziła ją do tego miejsca, ale miłość księżowska. Zbyt wielka i mocna. Ksiądz zrobił z Malinowską to, co chciał, a potem powrócił na łono Kościoła, udając, że Malinowskiej wcale nie znał i wcale z Malinowską nie spał. I wcale nie zrobił Malinowskiej dziecka. Dziecko nie przyszło na świat, bo rodzice Malinowskiej kazali się pozbyć tego zgnilego owocu miłości.

— No to sobie narobiła — powiedział Wójcik do Szczypiora w gabinecie lekarskim.

— Raczej to jej narobił...

— Trzeba było do księdza nie startować. Tyłu jest porządných facetów na świecie.

— Miłość jest ślepa — tłumaczył Szczypior.

— I nie ma języka — dodał kolega po fachu.

— Przepraszam Cię za to, co powiedziałem tam w parku. Rozumiesz, nerwowe życie.

— Co się dzieje?

— A co ma się dziać? Stara zatruwa mi życie.

— Coś o tym wiem.

— Rozwodu chce, kurwa mać. Po dwudziestu latach godnego i dobrego pożycia małżeńskiego!

— Rozwód...

— Ja rozumiem, że czasem się ludzie rozchodzą, bo nie pasowali do siebie i tak dalej... ale przez dwadzieścia lat człowiek przywiązał się do drugiego.

— No to może czas się odwiązać — powiedział Szczypior — Może powinniśmy zabić swoją żonę i zbiec na Kostarykę?

— Bardzo śmieszne! Myślisz, że lepiej będzie uciąć jej łeb siekierą, czy oblać benzyną i podpalić?

— Ja swoją zastrzelę.

Szczypior przypomniał sobie malinowo — mleczny zapach skóry Ewy.

*„Jeszcze wszystko można odwrócić. Wszystko zmienić można. Na pewno można. Strzala zegara cofa się. Samolot czeka. Możemy jeszcze razem polecieć na Kostarykę. Jeszcze dziś tam być”.*

Ewa pachnąca truskawkami. Szczypior zaciągnął się truskawkową wonią ciała. Lecz nagle Ewa ulotniła się w powietrzu. Para wodna. Trzask otwieranej puszkki. Śledź pospolity.

— Może się poczęstujesz śledzikiem, Szczypior — powiedział Wójcik — Co masz taką kwaśną minę?

— Truskawki może masz?

— Skąd ja Ci wezmę truskawki o tej porze? — zapytał poirytowany Wójcik — Sezon na truskawki się skończył.

— Życie się skończyło.

— Co mówisz?

— Mówię, że mamy piękną pogodę!

— To jest racja. Pogoda się udała wyjątkowo.

Godzina 13. W Radiu Mało Fajnym serwis informacyjny. Wójcik przekręcił galkę z napisem „volume” w prawo. Głośniej. Spiker przejęty mówił z radia:

— Kolejny zamach w sercu Europy. Grupa czterech zamachowców — samobójców zdetonowała ładunki wybuchowe na lotnisku w Brukseli. Zginęło 30 osób, a 235 jest rannych. Liczba ofiar może się powiększyć. A teraz przenosimy się pod Sejm, gdzie Komitet Obrony Dobrobytu zorganizował manifestację przeciwko Partii Indoktrynacji Społecznej...

— Skurwysyny — wycedził przez zęby wściekły Wójcik.  
— Niedawno Paryż, a dzisiaj...

Szczypiora ogarnął niezrozumiały dreszcz. Uczucie, jakby świat drżał i tracił krew. Czarnym flamastrem na kartce napisał:

„Świat umiera  
W radiu ostatnie  
Agonalne jęki  
Drgawki przedśmiertne Nie wiem czy go dobić  
Czy zadzwonić po karetkę”

Słyszając słynny przebój młodzieżowy „I fuck you in my car” pomieszany ze smarkaniem i kichaniem Wójcika, zdawało mu się że świat dostał biegunki.



# Wszystko przez miłość

Pani Kochlińska została skierowana do Szpitala im. Świętego Walentego zaraz po wielkim wybuchu. Jak w teorii Darwina.

— Muszę Pani przyznać, że ta historia z wybuchem jest przednia — Wójkik ekscytował się niepoprawnie. Kochlińska cała we łzach. Twarz jej przypominała obraz całego nieszczęścia ludzkości.

— Co to za wybuch?

— Kochlińska mieszkała na dziewiątym piętrze. Odkręciła gaz i...

— Rozumiem.

— Sąsiedzi z niższych pięter mówili, że odgłosy były takie, jakby cały blok się walił. Cud, że przeżyła. Jak widzisz, odłamki szkła trochę ją porysowały. No i cóż, skierowano ją na przymusowe leczenie tutaj.

— Powód?

— Jaki powód?

— Dlaczego odkręciła gaz?

— Miłość... same problemy przez tę miłość...

*„Zazwyczaj mam do czynienia z samobójstwami popełnianymi przez ludzi, dla innych, czy z myślą o innych ludziach. Nie jestem w stanie do końca tego zrozumieć. Jeśli się przeżyło taką próbę, to co jest potem? Potem jest tylko wegetacja uczuć. Strach przed wchodzeniem w kolejne związki emocjonalne. Bo można znowu zostać zranionym. A ile można tak umierać dla miłości? Raz? Dwa razy? Do trzech razy sztuka? Dlatego wydaje się, jakby te połamane serca stawały się niewolnikami swoich byłych katów emocjonalnych. Są już ich własnością. Kaci odbierają ich żywcem świata. Nie można dostać się do ich serca, nawet najbardziej krętymi ścieżkami. Nie wpuszczą Cię do zamku, nawet jeśli udowodnisz im, że przybywasz w celach pokojowych. Nawet mrówka wzbudzić może podejrzenie”.*

*„Polamane serca są nazbyt ostrożne. Na każdy spacer wybierają się z nabitym pistoletem w kieszeni. Lepiej więc nie zbliżać się do nich. Zachowywać bezpieczną odległość”.*

Telefon od Szczypiorowej. Wydarzyć się musiało coś naprawdę poważnego. Jego żona bowiem była dotąd zbyt obojętna, aby troszczyć się o niego i dzwonić. Jeśli już zdarzyło się jej zadzwonić, to tylko do swoich koleżanek, w celu płomiennej debaty nad losami Marka i Ireny z serialu „Królestwo miłości”.

— Szczypiorrr, słuchaj — skrzeczała przez słuchawkę żona — Tak dalek być nie może! Wyprrrrrowadzamy się z Emilką do mamusi. Jak się uspokoisz, to będziemy rrrrozmawiać.

— Nie zamierzam z Panią rozmawiać — odpowiedział Szczypior — Proszę zabrać wszystkie rzeczy, a przede wszystkim siebie i tę smarkulę, która ma czelność nazywać się moją córką!

— Ty skurrrrwysynu!

Szczypior zabił głos swojej żony czerwonym przyciskiem w telefonie. Poczul się naprawdę wolny. Telefon uczynił Szczypiora wolnym.

# Moja żona miała na drugie »Pomyłka«

Zanim Szczypiorowa stała się Szczypiorową, była Jolantą Kościńską. Pracowała w cukierni »Kashmir« gdzie Szczypior chodził z przyjacielem Ludwikiem Barszczem na rozmowy przyjacielskie. Dwadzieścia lat temu ujrzał Szczypior za ladą niską, kościstą brunetkę (włosy miała do pasa związane czerwoną kokardą) o oczach zegarowych, trawiastych, całkiem płacziwych. Uśmiechała się do Szczypiora króliczo, kiedy podawała herbatę. Przysłuchiwała się z ciekawością literacko-filozoficzno-kontrowersyjnym rozmowom, które prowadzili zaciekle z Barszczem. Dostojewski (religijny fanatyk), Joyce (ponury pornograf), Nietzsche (sumiastowąsy faszysta), Mickiewicz (żydowski polakoman), Nałkowska (dziwka, nie mogąca pogodzić się ze starzeniem), Hłasko (jedyne sprawiedliwy).

Aż stało się pewnego dnia w głowie Szczypiora coś irracjonalnego. Pomyślał, że w zasadzie, to Jolanta być może innym wcieleniem Ewy. A może Ewa zesłała Jolantę na ratunek Szczypiorowi? Kościńska uśmiechała się coraz częściej do Szczypiora.

Ten raz wszedł (zimowe popołudnie) do cukierni i wręczył Joli zbiór swoich wierszy, spiętych w ładną, małą książeczkę. A do środka włożył kartkę z numerem telefonu (gdybyś kiedyś potrzebowała). Jolanta wiersze zabrała, ale nie zadzwoniła. Szczypior nie dał za wygraną. Tydzień później przyszedł z goździkiem do „Kashmiru” (Jolanta była sama i Szczypior pomyślał, że szczęście mu sprzyja).

— Ale... ja nie mogę tego przyjąć — Jolanta mieszała słownie, trzymając w ręku badyła — Ja nie powinnam tego przyjąć. Ja... jestem zajęta.

— Wiem (skąd to wiem?), dlatego tym bardziej musi to Pani przyjąć. Jeśli Pani tego nie zrobi, to ja umrę (co ja pierdolę?).

— Wiersze mi się podobały — powiedziała Jolanta — Chociaż zupełnie nic z nich nie rozumiem.

— Widzi Pani... tak samo i mi się Pani podoba, chociaż Pani nie rozumiem. Całkowicie.

— W każdym razie ja nie mogę przyjąć tego. Tego kwiatka.

— Spokojnie — odpowiedział nonszalancko Szczypior — To tylko głupi goździk. Szczerze mówiąc nie lubię goździków. Zapewne Pani... narzeczony, kupuje zawsze bukiet czerwonych róż. Więc co to jest naprzeciw takiego chwasta...

— Proszę tak nie mówić! Mój chłopak wcale nie kupuje mi kwiatów...

— Ale?

— Ale... zapewnia mi bezpieczeństwo.

— Aha! — Szczypior wyszedł i podjął decyzję, że ten wątpliwy lokal będzie omijał szerokim łukiem.

Równo miesiąc później Szczypior odsłuchiwał płyty do przegrania, które pożyczył od Ludwika. Nagle rozbrzmiał telefon. Odebrał.

— No cześć, Barszcz. Słuchaj, możesz mnie zabić, ale tych kompaktów nie jestem Ci w stanie oddać. Zostało mi jeszcze trochę do przesłuchania.

W słuchawce rozległy się odgłosy smarkania i kobiecego kwiczenia.

— Ludwik?

— Jaki Ludwik?! — zapytał poirytowany, kwiczący, matowy głos młodej kobiety — Nie poznajesz?

Szczypior nie uwierzył.

— Czego chcesz?

— Zostawił mnie...

— Aha...

Następnego dnia Szczypior czekał na Kościńską przed drzwiami „Kashmiru”. Jolanta wyszła i odsłoniła przed nim twarz skrzywdzonej kobiety. Z drugiej strony w swej krzywdzie podniesionej do kwadratu, obnażyła przed nim swą śmieszność.

Rozmawiali. Ona o swym byłym B, a on o Ewie. Jolanta zaprosiła Szczypiora do siebie na kolację. Szczypior nie odmówił. Został u niej na noc.

Jolanta Kościńska pisze czarnym flamastrem na ścianie »EWA NIE ŻYJE. EWA NIGDY NIE ŻYŁA. EWY NIGDY NIE BYŁO«.

A później się zaczęło

- A może prawo jazdy byś zrobił? Później będziesz żałował!
- Zrób coś z włosami! Wyglądasz jak małpa.
- Ubierz się porządnie! Jak można nosić te ohydne dzinsy!
- A może ożeniłbyś się z Kościńską? Taka porządna kobieta i uczciwa. Jak się nie ożenisz, to nie będzie miał Ci kto podać herbaty na starość!
- I przestań czytać te głupie książki! Dorośnij.

Na ślubie padał deszcz. Rodzina zebrała się na pogrzeb Szczypiora. Pogrzebali go żywcem. Ewa również przyszła na pogrzeb. Ubrana była na czarno. Płakała.

Noc poślubna Szczypiora i Kościńskiej była dla niego najcięższą nocą. Walką wewnętrzną, którą się przegrywa. Rankiem Szczypiorowa skulona, robi słodkie oczka, takie oczka małej dziewczynki, która narozrabiała i chce spojrzaniem odkupić swoje winy.

- Szczypioruku... Bo jest coś, o czym Ci nie powiedziałam...
- Mów. Krócej będzie boleć.
- Będę miała... dziecko.
- Dzie... dziecko?!
- Ale... to dziecko nie jest z Tobą...

Szcypior naprawdę próbował pokochać Emilię, jakby kochał swoje własne, rodzone dziecko. Nie potrafił jednak wzbić się ponad pogardę i litość. Emilia nie była nawet chłopcem.

Mania przebiła moje lustro na wylot.

# Szamani, komuniści i złodzieje

— Może skoczmy po pracy na piwko? — zaproponował Wójcik — I tak nikt na nas nie czeka. Mamy trochę więcej czasu.

— Tylko nie piwo! — odpowiedział Szczypior — Po piwie pieprzy mi się wzrok i mam odruchy wymiotne.

— Dziwny z Ciebie chłop. Prawie jak nie-chłop.

— Diagnoza: Antyczłowiek.

— Antyżycie Antyczłowieka!

Z pokoju 240 rozlegają się odgłosy propagandowych pieśni rosyjskich:

*Miasto nad Newą, Miasto chwały Naszej bojowej  
Słuchaj Leningradzie  
O Tobie śpiewać będą Narody  
Pieśń moją serdeczną!*

— Pan Józek!

— Przeniósł się do czasów Lenina i Stalina?

— Coś tak jakby. Przeniósł się i tam pozostał. Wciąż wierzy, że Stalin żyje i zwojuje cały świat.

Pan Józek ubrany był w mundur obwieszony żelastwem a na głowie miał czapkę generalską z czerwoną gwiazdą. Oglądał w tej chwili film „Żołnierz zwycięstwa”.

— Panie Józku — powiedział Szczypior — Nie chciałbym być niemiły, ale komunizm skończył się w 89”.

- Naprawdę? — Wójcik uśmiechnął się z ironią.
- Zamknij się, imperialistyczny gnoju! — w oczach Józka zapłonął gniew — Jak towarzysz Stalin wygra wojnę, to postawimy was wszystkich przed sądem i ześlemy do gułagów na roboty. Zdrajcy, szuje!
- To cudownie! Miłego dnia, Towarzyszu Józefie!

Chory z pokoju 326 był szamanem. Leżał na brzuchu, nieruchomo, mrużąc co chwilę i krzycząc „*Mania przebiła moje lustro na wylot!*”.

— Antropolodzy uważają, że szamani byli pierwszymi kapłanami. Uzdrażali chorych, brali na siebie grzechy świata. Ponoć pierwszy szaman wymyślił seks. Nazwał go, tym, który doprowadza do szaleństwa.

— A więc wszyscy, którzy uprawiają seks są świrami — stwierdził Szczypior.

Wójcik uważnie obejrzał plecy szamana.

- Co robisz?
- Eksplozja — stwierdza — Dokonała się eksplozja.
- Jak to?
- Szamani posiadają w sobie ukryte, niezliczone pokłady energii. Często szamani nie wiedzą, że nimi są. Otóż u szamana energia budzi się w nerkach, wzrasta, przechodzi przez kręgosłup, aby eksplodować w głowie. Ta energia może nawet przebić na wylot czaszkę...
- Mania przebiła moje lustro na wylot!
- Szamani muszą uważać, bo przy eksplozji może nastąpić oczyszczenie albo...
- Można dostać pierdolca — dokończył Szczypior.
- No i niestety. Pan Szaman dostał pierdolca.
- Neuroza? — zapytał Szczypior.
- A co to takiego?
- Wszczepienie elektrody szczęścia powoduje nieodwracalne zmiany w mózgu.
- Tak... a czy pojmujesz, co znaczy zabić samego siebie?
- Może kiedyś spróbuję...



Wójcik odszedł, ale Szczypior usiadł naprzeciw Szamana i przyglądał się mu przez dłuższy czas. Obserwował niespokojne ruchy szaleńca.

— Co Ty, Szczypior, zakochałeś się? — niecierpliwy głos Wójcika wybiło go z ciągu myśli — Chcesz zostać szamanem?

Szczypior pochylił się nad szaleńcem. Odczuł, że jest on mu chyba najbliższy ze wszystkich ludzi na świecie.

— A czy Ty... mógłbyś mnie uzdrowić? Mógłbyś wziąć na siebie grzechy mojego świata? A może uczynisz mnie swym uczniem?

— Mania przebiła moje lustro na wylot! — odpowiedział szaman.

— Naprawdę, szczęśliwy człowiek!

# Zbuduję domek na drzewie

Drugie cukrowe wspomnienie związane z Ewą miało zapach morza. Szczypior pamięta spacer po plaży. Koniec lipca. Niebo czyste, kartka papieru nad głowami, wiatr, niespokojna woda, chyba sztorm. Spacer z Ewą w deszczu. Oboje przemoczeni, oblepieni, dyszący.

— Miłość jest kolorem, którego jeszcze nie obmyślono w palecie barw — rzekł Szczypior — Kolor, którego ludzkie oko nie poznało.

— Jest ciepłym deszczem, jednocześnie będąc groźnym sztormem. — Ewa patrzyła na Szczypiora, jakby знаła go lepiej niż on sam siebie znał kiedykolwiek.

— Powiedz „miłość”, a stanie się miłość.

— Miłość... Miłość. Kocham. Kocham wiatr. Wodę. Śpiew. Kocham śmiech. Ciebie kocham.

A trzecie ostatnie wspomnienie, miało zapach wilgoci o zachodzie słońca. Szczypior jechał do Ewy osiem godzin. Przez ten czas podróży deszcz zraszał świat. Kiedy podróż miała się zakończyć, zaświeciło słońce. Na krótko. Szczypior wysiadł na dworcu, gdzie unosił się zapach gasnącego deszczu. Na dworcu siedziała tylko jedna osoba. Czekala na kogoś.

Czwarte wspomnienie nie należało do tych dobrych. Powracało jednak najczęściej.

— No i wyobraź sobie — Wójcik szukał zapalniczki aby przypalić papierosa — ta głupia franca na końcu wraca do Forresta, jak dowiaduje się, że ma HIVa. A wcześniej miała go przy końcu kręgosłupa i rznąła się ile wlezie —

Wójcik wydmuchał dym — A ogólnie najlepsze jest to, że się okazało jakoby miała dzieciaka...

— Z Forrestem?

— Ale Ty głupi jesteś, Szczypior! Flafer pafer, wolna miłość, niezliczona ilość kochanków, a potem zdziwienie, że jest bambini.

— To znaczy z innym... no i co na to Forrest?

— Nic. Ucieszył się...

— Coś mi to przypomina...

— Co? Też miałeś kumpla, który dał sobie podrzucić małego bambini?

— Miałem przyjaciela — powiedział Szczypior — Który był wielkim świrem. Idealizm, romantyzm, ucieczka przed wszystkimi i wszystkim. Od dziecka kochał się w takiej jednej... zresztą z wzajemnością się kochał. Spędzili ze sobą kawał czasu, jeździli pod namiot, robili ogniska, wyjeżdżali nad morze. On grał dla niej na gitarze, a ona słuchała. Wszystko było wspaniale. Do czasu... do czasu kiedy ona nie odeszła. Ona odeszła od niego do śmierci. Zostawiła, rozumiesz... A potem... nie wiedział co zrobić ze swoim życiem. Życie bez Ewy było dla niego antyżyciem. Pewnego dnia zobaczył w cukierni taką dziewczynę — Jolkę. Była ona właściwie bez życia, więc zdesperowany związał się z nią. Był z nią, ale jednak sam był. Ożenił się za namową rodziny i pod ogólną presją. A po ślubie okazało się, że Jolka nie powiedziała mu wszystkiego. Nie powiedziała... że będzie miała dziecko. Ale nie było to jego dziecko...

— Cholera jasna... a raczej ciemna — westchnął Wójcik, gasząc papierosa — Pechowy gość. No i co z tym zrobił?

— A co miał zrobić? Zostawił to wszystko w cholerę i wrócił do Ewy...

— Powiem Ci jedno, Szczypior. Życie to jest wielka dziwka.

— Dlatego tylko nieliczni mogą korzystać z jej usług.

— Historia bardzo ciekawa, ale jedna rzecz mnie trawi wewnątrz, Doktorze Szczypior... Ty opowiadasz historię tego kolegi, jakbyś swoją historię opowiadał.

— No bo... ten kolega jest... był mi bardzo bliski...

*„Czy o tym nie myślałem? Za każdym razem, kiedy widziałem opakowania tych leków. One działają na mózg odciążająco. Pigulki szczęścia, kosmiczne piguły. Na przykład taki Hydypphen, silny lek antydepresyjny. Po jednej małej tabletkie ma się*

wrażenie, jakby wyjścia z ciała. Istny kosmos. A co musi dziać się po dwóch takich tabletkach... podróż astralna? Bomba pigułkowa!”

„Najcięższym przypadkiem z jakim się spotkałem w całej swojej działalności był przypadek kanibala. Wprawdzie praktyki kanibalistyczne uprawiane są jeszcze w niektórych niecywilizowanych zakątkach świata (gdzie misjonarze ze strachu nie przybyli, aby dać tubylcom jakieś złote gówienia i krzyżyki) ale nie w środku Europy! Kanibal wybierał zawsze ofiary słabsze, bezbronne, w większości płci żeńskiej. Chociaż jednak nie była to kwestia jego wyboru, tylko strachu. Ponieważ doskonale zdawał on sobie sprawę, że nie byłby w stanie zgładzić silnego, umięśnionego kulturysty w celach konsumpcyjnych. Znał więc swoje możliwości i wysokość stawianej poprzeczki... A tak poza tym, to sobie tak myślę, że wszyscy ludzie tak naprawdę są kanibalami duchowymi. Upatrują sobie ofiarę o słabszej konstrukcji, pochłaniają, bez zasad dobrego wychowania i innych takich pierdół. Na końcu pozostawiają szkielet, kostki, niedojedzone fragmenty mięsne, kałuże posoki. Ludzie dzielą się na kanibali i ich ofiary. Z czego tych pierwszych jest o wiele więcej. Być może tak wiele, że gdyby stworzyć Państwo Kanibali Duchowych (PKD) to byłoby tak rozległe, jak Rosja, Chiny lub U.S.A. A być może nawet większe niż wszystkie te kraje razem wzięte. Związek Socjalistycznych Republik Kanibalistycznych. Coś takiego. Chyba”.

Prawdziwy obłąd przychodzi podczas snu. Zamykamy oczy, wyłączamy kontrolę przepływu myślowego, przez co pozwalamy na wchodzenie do umyśłu obrazów i zdarzeń, których nie chcemy widzieć i przeżywać. Człowiek więc jest marionetką w rękach snu. Szczypior śni, że ucieka z domu. Domu, który płonie. Domu, do którego weszli bandyci w celu pozbawienia go życia. Domu, w którym krzyczą i awanturują się jego rodzice. Domu, który nie był, nie jest i nigdy nie będzie jego domem. Nigdy nie udaje się uciec, bo Szczypior w snach (jak i w życiu!) ma nogi patyczane, chude, łamliwe. Szczypior nie potrafi poruszać się po snach, nie zna ich mapy, jest w martwej strefie. Chciałby śnić o Ewie. Przynajmniej w snach być z Ewą. Jednak nie. Szczypior musi stale uciekać. Uciekać przed sobą. I dać się złapać. Za każdym razem!

A innym razem śnił mu się samotny spacer. Cichy i spokojny spacer. Nagle Szczypior ujrzał biegnącego wprost naprzeciw niego psa. Pies był czar-

ny, miał oczy oblane krwią. Widział Szczypiora, jako kawał mięsa. Kiedy już już zębiska miały wtopić się w ten kawał mięsa... Nastąpiło przebudzenie.

Wczytał później w mądrej książce religijnego pisarza, że sen o czarnym, szalonym psie, oznacza opętanie i obecność diabła.

W swojej karierze psychiatry miał kontakt z wieloma przypadkami opętania. Na przykład jedna dziewczynka o twarzy anioła zaczęła mówić po niemiecku i przedstawiać się, jako Adolf Hitler. Szczypior miał nawet okazję rozmawiać z samym wodzem przez krótką chwilę. Okazało się, że nie wiedział wcale o obozach koncentracyjnych i tak naprawdę PLSK zaatakowała NMC w 1939 roku. W dodatku dziewczynka okazała się bardzo niezdecydowana, bo zaraz zmieniła język na francuski, podając się za Robespierre'a. W końcu poprzestała na chińskim, stając się ostatecznie Mao — Tse — Tungiem.

Porównując takie, wiekopomne opętanie ze swoim, przeszedł nad tym do porządku dziennego.

W telewizji Szczypior oglądał raz podróżniczy program Włodzimierza Cyngłowskiego „W skarpetkach przez świat”. W programie tym Cyngłowski przemierza pierwotne, niecywilizowane i nieubrane tereny świata, pokazując ludzi wolnych od światowej plagi materializmu. Ludzi, którym moglibyśmy zazdrościć minimalizmu potrzeb i nieświadomości. Lecz Szczypior zwrócił uwagę na kwestię miłości i żeniaczki na wyspie Nie-Żeń-Sień, na której akurat Cyngłowski przebywał. Mieszkańcy wyspy nie mają wyboru. Kochać muszą tą, albo tego, którego/którą wyznaczy wódz. A więc ludzie pobierają się bez miłości. Pojęcie miłości nie jest więc znane. Chyba nie jest. Bo nie wiadomo, co rodzi się w głowie tubylca. Założmy, że pechowiec zakochał się w najpiękniejszej dziewczynie w wiosce. Najpiękniejsza dziewczyna w wiosce przeznaczona jest innemu, a on sam musi się ożenić z najbrzydszą, ohydną i zezowatą małpo-kobietą. Jedyne ułgą w męce z małpą jest moment, kiedy może ujrzeć swoją prawdziwą, jedyną i wybraną. *„Coś, co czuję do Ciebie być może jest zakochaniem, miłością. Ale nam nie wolno. Może gdybyśmy łodzią uciekli do innego świata. Ale czy jest inny świat?”*

A więc życie nasze, w środkowej Europie, lepsze jest od życia na dalekiej, nieucywilizowanej wyspie pod tym względem, że mamy ubranie i możemy wybierać kobiety do żeniaczki... chociaż czy to takie dobre?

Wybierać kogoś, aby męczył się z nami pod rygiem przysięgi „I nie opuszczę Cię aż do śmierci”? . Lepsze jest to jednak niż ślub z przymusu. Z kobietą, której nie znasz. Która jest dla Ciebie obca...

*„A więc jestem nieucywilizowany”.*

Wczoraj do szpitala trafił niejaki „Małpolud”. Ten wdzięczny przydomek zawdzięczał chory swojemu nietuzinkowemu sposobowi na życie.

— Właściwie to — Szczypior podrapał się po głowie — Dlaczego zdecydował się Pan zamieszkać na drzewie?

— A dlaczego Pan zdecydował się mieszkać w swoim domu?

Pytanie trawi Szczypiora. Nie może sobie z nim wewnątrznie poradzić. Małpolud być może jest o wiele bardziej sprytny od Szczypiora. Na pewno.

— Wy, cywilizowani ludzie — tłumaczy dziwak — uczyniliście z natury źródło zasobów konsumpcyjnych. Natura jest wam poddana, bo zaspokaja wszystkie wasze zachcianki. Nie żyjecie w zgodzie z naturą, lecz niszczycie ją bez świadomości i bez namysłu. Chodzi w tym wszystkim o to, żeby żyć w pełnej bliskości.

— A więc tylko o to Panu chodzi?

— Wzajemne oddziaływanie. Bez tego stajemy się tylko konsumpcjonistami bez ducha i zastanowienia. A co by się działo z nami gdyby drzewa zabijały nas i przerabiały na opał, lub papier?

— To się raczej nigdy nie wydarzy — wtrącił się Doktor Wójcik z ironicznym uśmiechem — Musi Pan pogodzić się z nieodwracalnością pewnych zdarzeń. Ludzie od zawsze korzystali z zasobów ziemskich, aby przeżyć, przetrwać. Nie ma w tym nic kontrowersyjnego. Tak po prostu musi być.

— Nic nie musi być! — krzyczy oburzony Małpołud — Drzewo jest moim domem i nim zostanie!

Wójcik na te słowa wzrusza obojętnie ramionami i wychodzi. Szczypior zwraca się do chorego:

— Pan wybaczy mojemu koledze, ale sam Pan rozumie. Chorobliwy racjonalista.

— Oni tak wszyscy mają — obojętnie i wyrozumiale mówi Małpołud — Ale Pan nie za bardzo się z nim zgadza?

— Szczerze mówiąc, to nie zgadzam się ani z nim, ani z Panem. Wydaje mi się, że z nikim nie zgadzam się tak całkowicie. Nawet z samym sobą — przyznaje Szczypior i przeraża go natychmiast jego niezwykła wylewność.

Na odchodnym pyta:

— A jak Pan wyjdzie... to co dalej będzie?

— Co ma być dalej? Jak wyjdę, to znowu tam wrócę, na drzewo. Jak jestem na drzewie, to mogę żyć...

— Żyć...

Szczypior wychodzi.

# Jakoś leci ale tak naprawdę stoi

*„Pusty dom, do którego wrócę po pracy. Zresztą... dom ten zawsze był pusty. Mimo, że ta żona i córka niby były, ale nikogo nie było. Chyba jedynym moim domem był szpital. Tam mogłem się ukryć przed Szczypiorową, Szczypiorówną, tym antyżyciem. Wszystko mogłem skupić na moich przyjaciolach, chorych. Chociaż przecież zabronione jest nam emocjonalne przywiązywanie się do pacjentów. A może... może faktycznie jestem jednym z nich? Może to mnie powinni leczyć?”*

— Wiesz — zwrócił się Szczypior do Wójcika — To, że tutaj jesteśmy, to jest wielkie szczęście.

— Co masz na myśli?

— Bo widzisz — zaczął Szczypior — Moja nazwijmy to „żona” mówiła mi, że pracując wśród „świrów” można się zarazić. Zarazić jak ospą. A ja sobie myślę, że tak naprawdę, to ona jest świrem a taka Kochlińska jest zupełnie normalna.

— Z całym szacunkiem, ale zaczynasz powoli bredzić. Całkiem jak goście tego wątpliwego przybytku. Przecież gdyby faktycznie tak było, to Kochlińska nie znalazłaby się tutaj...

— Ale czy Ty nie rozumiesz, że oni wszyscy w tych murach i również my, uciekamy przed światem, który ześwirował?

— Noo...

— Jak zachowywał się Twój ojciec po zakupie tego nowego kabrioletu?

— Noo... doglądał go, sprawdzał ze wszystkich stron, czy przypadkiem nie obił się ani nie porysował podczas jazdy. Siedział przy nim i tak długo patrzył... Nawet kiedyś przy nim zasnął. Kiedy raz podrzucił mnie prosił, aby zamykać drzwi bardzo ostrożnie, bo „kurwa samochód nie lubi, kiedy trząska się drzwiami”.



— Czy to jest normalne?

— Noo... niby nie jest normalne... ale z drugiej strony ja go rozumiem. Utopił w to auto 50 baniek i...

— Traktuje je lepiej niż najbliższą osobę? Przecież ten kabriolet to tylko konserwa na kółkach, która i tak w końcu pójdzie do kasacji. Wolę wariatów, którzy kochają za mocno, nadwrażliwców, prowadzących odmienny tryb życia, od wariatów, którzy nie widzą więcej aniżeli wygodę, konserwę na kółkach, comiesięczną wypłatę i tego, czy żona nie ugotuje za słonej zupy...

— Ale Ty przecież prowadzisz taki sam tryb życia, jak oni. Też masz samochód, żonę i całkiem niezłe mieszkanie. Też prowadzisz życie materialnych świrów.

— Ale ja przed tym uciekam!

— Uważaj — Wójcik leniwie przeciągnął się w fotelu — Nie daj się przypadkiem złapać. Zmęczyłem się cholernie od tego filozofowania.

— No i po co znowu to wszystko gadam? — zapytał Szczypior Szczypiora już w myślach.

Do pokoju wpadła nagle Elżbieta:

— Chłopaki, musicie pomóc...

— Co się dzieje?

— Szczęśliwiecki dostał znowu ataku. Rozsmarowuje swoje gówna na ścianach...

Wójcik ociężale podniósł się:

— Widzisz, Szczypioru, to jest ta Twoja szpitalna arkadia, śmierdząca gównem...

Mogłoby się wydawać, że nic gorszego nie mogło już spotkać Szczęśliwieckiego. Że wyczerpał limit pechów i nieszczęść. Oto dokładny spis darów Opatrzoności dla Szczęśliwieckiego:

— bankructwo i upadek firmy (zdarza się)

— kilkusettyśięczny dług (komornik zabiera dom i samochód)

- śmierć matki (zawał)
- zdrada żony (po dwudziestu latach godnego pożycia małżeńskiego!)
- wyjazd córki za granicę (miesiąc po wyjeździe przysyła Szczęśliwiciemu zdjęcie z Berlina ze swoim arabskim chłopakiem)

*„Raz przez przypadek w radiu usłyszałem jarmarczną piosnkę, gdzie cukierkowe dziewczę śpiewało kruczym głosikiem, że »życia nie bierze serio zbyt«, że »mimo walącego się świata, trzeba uśmiechać się i szczęśliwym być«. Pomyślałem sobie, że wcale nie trzeba. Czy można śpiewać i chwalić życie, kiedy zwijamy się z bólu, tarzając jak robale w błocie? I tak zacząłem sobie wyobrażać, że tą śpiewającą damulkę (która chyba nie zdaje sobie sprawy jakie durnoty ma czelność wysławiać) dopada chociaż jedna z tych rzeczy, które przydarzyły się Szczęśliwiciemu. Wtedy można się poczuć co najmniej... niekorzystnie?”*

*„Ze wszystkich stron słyszę, że trzeba zachowywać pogodę ducha, być dobrej myśli. Każdy płot można przeskoczyć. Zapominacie jednak, że to, co dla innych jest płotem do przeskoczenia, dla innych z kolei staje się murem nie do pokonania. Najłatwiej jest patrzeć z boku i oceniać chłodnym spojrzeniem racjonalisty, znawcy życia, człowieka, który jadł chleb z niejednego pieca. Mnie też ludzie oceniają. Twierdzą, że mam wszystko. A tak naprawdę... tak naprawdę nie mam NIC. Jak mam to wytłumaczyć? Kiedy sąsiad — Pan Staszek pyta mnie »Jak jest, Panie Piotrze?«, to mam mu powiedzieć »Panie Staszku, duszę się kurwa w swojej życiowej klatce«? O nie, wolę ograniczyć się do »Jakoś leci« niż tłumaczyć cokolwiek. Tak koło się zamyka. Ja zamykam się w tym kole!”*

# Przez siebie

Pizza zamówiona przez Wójcika okazała się przypalona i zbyt twarda. Szczypior o mało nie złamał zęba na sztywnym cieście. Żelazna igła bólu kłuje nerwy, w ustach zapach spalenizny. Ból przypomniał o dzieciństwie. Jedno z najgorszych wspomnień dzieciństwa, to wizyta u dentysty. Leczenie kanałów zębów. Szczypior pamięta to uczucie. Uginające się nogi na widok narzędzi tortur i tronu, na którym zaraz miał zasiąść i niebawem miały rozgrywać się dantejskie sceny w tym gabinecie stomatologicznym. Ból pomniejszał Szczypiora.

*„Podobnie jak wzrok mego ojca. Był zawsze bolesny. Ojciec niezbyt wiele mówił. Nie wiem czy w ogóle potrafi mówić. Wystarczy spojrzenie. Jedno spojrzenie mego ojca, mówi więcej, niż tysiąc słów (to jak w tej popularnej reklamie!). A kiedy Szczypior Senior, patrzył na ośmioletniego Szczypiora Juniora, ten kulił się, malął, uciekał, płakał. Matka z kolei była nadopiekuńcza. Zawsze dawała mi parasol, kiedy wychodziłem na deszcz. Raz wyszedłem bez parasola i zaczęło padać. Wróciłem do domu przemoczony, a matka nie mogła spać w nocy z powodu wyrzutów sumienia, bo Szczypior Junior jest z cukru i nie może się przemoczyć”.*

Dlatego być może miał żal do matki w dorosłym życiu, że nigdy nie pozwoliła mu na wielkie przemoczenie. Potem zaś nie dała mu parasola, chroniącego przed ludzkością. Dobrze, że pojawiła się Ewa. Chociaż i tak zostawił ją dla rodziców.

Szczypior lubił spacerować w deszczu.

Do rodziców jeździł dwa razy w miesiącu. Głównie w soboty. Przeprowadzili się na wieś, aby (jak tłumaczyła matka) „spędzić w spokoju i zgodzie z naturą jesień i zimę życia”. Rodzice owszem, zaznawali rozkoszy życia na wsi. Wsłuchani w apokaliptyczną symfonię orkiestry krowo-byczo-baraniej, oraz

delektujący się muzyką wiejsko-taneczną, którą częstował ich sąsiad chory prawdopodobnie na intelektualne lenistwo. Wszystko to w oparach krowo-byczo-baranich odchodów.

Autostrada do wsi Leskowa przypominała wielokilometrowy, czarny, podłużny pas sera z dziurami. Dziury wszędzie. Dziury cuchnęły polskością na kilometr. Niebieska konserwa na kółkach, którą prowadził Szczypior podskakiwała w bliskim kontakcie z dziurami. Szczypior myśli o sensie istnienia dziur. Dziury w zasadzie istnieć nie powinny. Przecież zaci bohaterzy klasy pracującej z heroizmem i oddaniem latają je co kilka miesięcy. A mimo tych wszystkich latań, dziury odradzają się. Jest to zwyczajny spisek dziur przeciwko ludzkości.

Szczypior dojeżdżając do Leskowej, zachwycał się widokiem drewnianych, zapadłych, opuszczonych chat, drobnych pijaczków wlewających w siebie zaprawione siarką wino »Marnot« i gnijących na zielonych ławkach pod sklepem, koni, krów, świń, wychudzonych, bezpańskich psów i pospolitej ludności, której twarze wyglądały na inteligentnie i życiowo obojętne.

Państwo Szczypiorowie — seniorzy, mieszkali w żółtym domu pod czerwonym dachem (dużo takich domów w Leskowej!). Dom był otoczony jabłoniemi. Szczypior pomyślał, że jabłonie muszą chronić dom przed światem zewnętrznym. Chciał przynajmniej w to wierzyć. Chociaż dobrze wiedział, że jego rodzice zawsze byli ze światem.

Stanął przed nim nieszczęśliwy wrak człowieka, dotknięty procesem starzenia. Ojciec nie przypominał w żadnym najmniejszym szczególe tego groźnego milicjanta — policjanta sprzed dwudziestu lat. Skurczony, zgarbiony, pocziwy staruszek z grymasem bólu na twarzy. Przez całe życie bał się go i przez całe życie chciał go zabić. A teraz — teraz, kiedy ma wreszcie ku temu okazję, staruszek wzbudza w nim tylko litość. Nic tylko litość. Żeby chociaż poczuć odrobinę nienawiści, pogardy. Jednak nic.

*„Widziałem całkiem niedawno w telewizji program, w którym to przedstawiono historię strażnika w jednym z obozów koncentracyjnych. Człowiek ten pod koniec*

wojny, przewidując wielką klęskę Rzeszy, uciekł do jednego z ciepłych krajów w Ameryce Południowej. Dopiero niedawno został zdemaskowany, a świat poznał jego prawdziwe oblicze. Sąsiedzi nie mogli wprost uwierzyć, że żyli, rozmawiali, biesiadowali z człowiekiem, który był w stanie dobijać zmęczonych pracą więźniów kolbą karabinu. Teraz gwoli sprawiedliwości wypadaloby aresztować go, oskarżyć o zbrodnie przeciwko ludzkości, osadzić w więzieniu o chlebie i wodzie, a może nawet ukarać śmiercią. Jest w tym wszystkim jeden, mały kłopot. Otóż ten wielki kat i oprawca, postrach wszystkich więźniów, ma teraz 93 lata, porusza się na wózku inwalidzkim, karmiony jest przez siostrę, a we wszystkich czynnościach fizjologicznych pomagają mu pielęgniarki. Czy ktoś taki może wzbudzić w człowieku jakieś wyższe uczucia ponad zwyczajną litość? Nic tylko litość. Powinniśmy gardzić, nienawidzić, potępić i strącić do piekła, lecz jak tu strącić do piekła staruszka, który błagającymi, łzawymi oczami prosi o jeszcze jeden dzień życia?”

— No... to jak tam u Ciebie w życiu? — Stary Szczypior wychyla kolejny kieliszek wódki.

— No, dobrze. A jak ma być? Żyję.

— Coś tak blade wyglądasz. Wódki się nie napijesz?

— Przecież ojciec wie, że ja wódki nie piję.

— No, to co z Ciebie za chłop w takim razie?!

— Oj, Zenek! — piskliwy głos z sąsiedniego pokoju starał się uspokoić Starego — Nie męcz Piotrusia. Matka zawsze potrafiła poskromić tygrysa, a przy okazji uratować życie chomikowi. Wyciągnąć go ze sztywności, pustostanu i niemożności nawiązania kontaktu w relacji ojciec-syn. W jakich słowach mógłby opisać swoją matkę? Wielokrotnie chciał to zrobić, określić ją, zaszufładkować, przypisać cechy osobowości, rozvodzić się nad skomplikowanym, wielowymiarowym rysem charakterologicznym. Jednak za każdym razem przychodziły mu na myśl tylko banalne, nic nie mówiące przymioty, jak „troskliwa matka”, „dobra gospodyni”, „posłuszna swemu mężowi (nazbyt)”. I to wszystko. Tylko jak można określić człowieka dwoma lub trzema słowami? Czy można człowieka ogarnąć słowem, myślami?

Matka siedziała w pokoju gościnnym, który służył również za sypialnię. Przyklejona do wózka inwalidzkiego (poważne kłopoty z kręgosłupem) spędzała spokojną starość przed ekranem telewizora. Podziwiała i współodczu-

wała zmartwienia i wåtpliwo¶ci g¶ównych bohaterów wåtpliwej telenoweli. Co jaki¶ czas seans przerywał blok rozwrzeszczanych i mieni¶cych si¶ kolorami t¶czy fekaliów w eleganckich pudełkach.

— A co tam u Joli? Jak si¶ Emilka uczy?

Szczypior kłamał. Pod niebiosa zachwalał swoj¶ niby żon¶. Jolanta by¶a w tych kłamstwach uczciwa, gospodarna, nie wydawa¶a pieni¶dzy na durnoty i bardzo dobrze gotowa¶a.

Emilka natomiast w klasie by¶a jedn¶ z najlepsz¶ uczennic. Absolutnie najlepsza w polskim. Z matematyki zbiera¶a czwórk¶. Nie lajdaczy si¶, nie pije, nie pali. Córka idealna!

Szczypior przed rodzicami i ¶wiatem by¶ wiecznym aktorem. Od swojego Mistrza, Andrzeja Ź usłyszał: „*Aktorzy zawsze oszukuj¶. Cały ¶wiat a najbardziej samych siebie. Oszukuj¶, że wcale nie oszukuj¶.*”

— Nie uwierzysz jak nasz Pawełek daleko zaszedł! — rozpoczyna¶a si¶ kolejna pie¶ń pochwalna o bracie Szczypiora — Awansował w firmie. Teraz zarabia trzy tys¶ce euro miesi¶cznie. Zdolny nasz Pawełek!

No wła¶nie. Nasz Pawełek. Ich, ale nie jego. Paweł Szczypior z wykształcenia by¶ informatykiem. Postanowił wyjechać na zachód, bo wsz¶dzie poszukuj¶ informatyków. Teraz zbiera¶ laury od Niemców i rodziny. Wi¶zien szkłanych biurówców, informatycznych kodów i trzech tys¶cy euro na koncie.

— A Ty — rzekł ojciec — Ile zarabiasz jako lekarz świrów? Dwa tys¶ce?

— Wystarczy... — Szczypior uciekał od tygrysi¶ oczu. Jego tutaj nie ma. Nie ma.

— Co to za robota? — Stary poci¶gał temat i Szczypiora w przepaść — Pilnowanie pierdolców, żeby sobie żył nie podci¶li, albo żeby przez okno nie wyskoczyli...

— Wystarczy...

— Zenek! — zainteresiowała piszcz¶ca matka.

— Powiem wam jedno — Szczypior skierował się do wyjścia — Jak wam komputery mózgi zeżrą to... to my was leczyć będziemy.

— Niewdzięczny gówniarz! Pawłowi zazdrościsz, że on zaradny życiowo, a Ty nic nie masz. I nigdy nie będziesz miał. Trza się było uczyć informatyki albo matematyki, póki był czas...

Szczypiora pożegnały dźwięki muzyki dla ludzi o innej wrażliwości. Sąsiad podkręcił galki z napisem „*volume*” chyba na cały regulator.

Z nieszczęśliwych głośników:

Józek sed psez los  
A tom Marysińka idzie tys  
Józek złapł jo  
Za...

Jeśień 1995 roku. Miasto oblepione było plakatami, reklamującymi nowy film z Jamesem Bondem, a w Radiu Mało Fajnym grali do znudzenia utwór, w którym aksamitny głos wokalistki zachęcał do spojrzenia prosto w słońce, co zdawało się niemożliwe. Piotr wracał szczęśliwy do domu i zdawało się, że nic i nikt nie może, chociażby próbował, szarpał, krzyczał, drapał, siłował się — nic i nikt nie może jego szczęścia zburzyć. Nikt nie może jego rozpędanego pociągu życia postawić na innych torach.

*„Jakże się człowiek może mylić!”*

Ściągnął dzinsową, przydużą kurtkę i udał się do kuchni, aby zrobić coś do picia. Przechodząc usłyszał z pokoju Pawła odgłosy przyjemnej dla ucha melodyjki z konsoli Amiga 500 i mniej przyjemnego krzyku poirytowania młodszego brata, który najwyraźniej nie radził sobie z rozgrywką. Konsola dla Pawła została kupiona za pieniądze z zastawionego w lombardzie magnetowidu, który należał do Piotra i którego rodzice bez słowa Piotrowi odebrali.

Herbata, którą Piotr zaparzył okazała się zbyt mocna, tak że sam skrzywił się w grymasie obrzydzenia, a w tym samym momencie do

kuchni weszła jego matka. Widząc niezadowolenie na twarzy syna zapytała go:

— Chory jesteś?

— Nie. Po prostu za każdym razem, kiedy wchodzę do tego mieszkania, to jakoś niedobrze mi się robi. Planujecie z ojcem w najbliższym czasie zakupienie jakiejś nowej zabawki dla Pawelka?

— Chodzi Ci o konsolę? Nie rozumiem dlaczego taki jesteś...

— Mam prawo.

— Pawelek — powiedziała matka, a jej twarz przybrała wręcz rysów mężeńskich — ma najlepsze stopnie z matematyki na całą klasę. Zasłużył sobie.

— Niech lepiej popracuje nad polskim. Tutaj akurat ma bardzo duże braki.

— A czy on musi być najlepszy ze wszystkiego? — uderzające oburzenie matki.

— Tak się składa, że ja musiałem być najlepszy ze wszystkiego. I nikt mi nie robił żadnych prezentów. Och, przepraszam! Nikt, oprócz wujka Staszka ze Stanów. Poczciwy chłop — przysłał mi raz winyla Iron Maiden.

— Zazdrość — zdiagnozowała matka — zwykła zazdrość przez Ciebie przemawia.

— Nie zazdrość, tylko...

Kiedy tak rozmawiali, zaskrzypiały otwierane drzwi. Oto ze służby wracał ojciec. Szczypior słyszał, jak ciężko sapiąc, zdejmował czapkę, mundur i skierował swoje kroki do kuchni. Kroki narastały. Cień ojca stawał się coraz większy. Przeczynał, że kłótnia jest nieunikniona.

*„Milicja. Policja myśli!”*

— Będzie obiad? — w głosie ojca znajdowało się zarówno pytanie, rozkaz jak i groźba. Matka jakby zapominając o rozmowie z synem, zaczęła krzątać się, słuźalczko uginać przed mężem, niczym lokaj, którego jedyny cel w życiu, stanowi zaspokojenie wszelkich potrzeb i zachcianek swego pana. Ojciec tymczasem siedział dumnie za stołem, nerwo-



wo bębniąc palcami o blat. Piotr w jednej chwili wyobraził sobie, że siedzi naprzeciw niego, na komisariacie. Jest podejrzany, przesłuchiwany i grozi mu dożywocie. Czy wszyscy ludzie, których przesłuchuje jego ojciec, nie potrafią ułożyć chociaż jednego sensownego zdania na swoją obronę? Każdy z nich patrzy w twarz, która zna ich wszystkich, lepiej od rodzonej matki. Zna wszystkie grzechy oraz wie w jaki sposób za nie odpokutować.

— Słyszałem, że znowu klóciłeś się o coś z matką — ojciec zwrócił się do Piotra, a matka słysząc to, zastygła w przerażeniu, jakby przewidując, jak potoczy się dalsza rozmowa.

— Rozmawiałem.

— Rozmawiałeś — ojciec powtórzył zamyślony — To ja jestem bardzo ciekaw, o czym do niej rozmawiałeś...

— Chodzi tylko o to — zaczął nadzwyczaj śmiało, jakby zapomniał, kto siedzi naprzeciw — Że mój magnetowid...

— Nie obchodzi mnie to.

— Ale...

— Powtarzam. Nie obchodzi mnie.

— A czy cokolwiek Cię obchodzi? — Tutaj Piotr ugryzł się w język, ale zrozumiał, że jest już za późno, że posunął się za daleko. Przeszywający wzrok ojca zdławił jego myśli, a wszystkie górnolotne słowa i argumenty, w jednej chwili wyparowały z mózgu.

— Chcesz mieć coś na własność? Bardzo proszę — możesz sobie zarobić.

— Tylko, że ja na ten magnetowid zarobiłem sam. Przecież rok temu w wakacje pracowałem w wypożyczalni kaset video, nie pamiętasz? — powiedział tym razem tonem błagalnym. Chciał uwierzyć, że może ten argument przemówi do ojca, że zrozumie.

— Czy możecie przestać? — wtrąciła się nagle matka. Wzrok ojca przeszedł na nią. Wtedy zrozumiała swój błąd i zamilkła. Ojciec, jakby nie słysząc lub nie chcąc słyszeć żadnych argumentów syna kontynuował:

— To wszystko głupota. Ja musiałem od szesnastego roku życia pracować. Na budowie! I nikt mnie nie pytał o zdanie. Oczywiście Tobie nie chce się robić. Wolisz za to włóczyć się z jakąś kurwą...

— O Jezu... — tylko cicho westchnęła matka.

— Coś Ty powiedział?! — na białce, niemal na wyciągnięcie ręki leżał nóż kuchenny. Ojciec nie zdawał sobie sprawy, że obraza Ewki była najgorszą, śmiertelną zbrodnią. Ona była święta. Ojciec zhańbił świętość.

Chwycił nóż w swoją dłoń, lecz zaraz poczuł, że jakoś dziwnie mu ciążył i nie potrafił go utrzymać. Zanim jeszcze zdążył cokolwiek zrobić, silna ręka ojca pchnęła go ku ścianie i potężny cios w twarz zamroczył go tak, że przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, kim jest i co się stało. Świat kręcił się, a twarze rodziców były jakby za mgłą. I szorstki głos ojca zza mgły:

— Gdybyś nie był moim synem, to oskarżyłbym Cię o napaść na funkcjonariusza państwowego. Tymczasem zapominamy o tym, nikt nic nie zrobił, nikt nic nie widział. A Ty, weź się wreszcie za prawdziwe życie. Zobacz, jak Ty wyglądasz?! Trzydzieści lat temu takich, jak Ty zamykano do więzień za włóczęgostwo. Zobaczysz, jak dalej będziesz pyskował mnie i matce to Cię wyślę do wojska. Tam wszystko poukładają w tym zakutym łbie!

— O Jezu! — tylko cicho westchnęła matka. Zza mgły.

*„Oni Twoje wyższe uczucia i ideały podepczą, oplują, nasrają na nie i nie zostawią nic oprócz cynizmu, pustki i potrzeby przetrwania. Na końcu skulony wrócisz do nich, podziękujesz im za to, pocałujesz w rękę i błagać będziesz, aby nigdy Cię nie opuszczali, bo bez nich zginiesz.”*

Notatka sprzed dwudziestu lat jakimś cudem ocalała. Szczypior szczególnie lubił ten wpis. Było w nim wszystko. I wszystko się sprawdziło.

*„A przecież nie udało im się całkiem...”*

Przyłożyła wilgotny, niosący ukojenie gazik na posiniaczony policzek

— Żeby przynajmniej raz zapomnieć o bólu — skończyła opatrywanie i usiadła obok niego na łóżku, które zawsze stanowiło jedyne miejsce pocieszenia i ciszy. Skulona jak on, zwinięta w kłębek, solidarna w tym bólu. Odwiecznym.

— Nie myśl, że to przez Ciebie ojciec mnie pobił — mówił z twarzą ukrytą w kokonie dłoni — Nie myśl o niczym.

— Ojciec pobił Cię przez siebie. Wszystko jest pretekstem do bicia.

— Chciałem go wtedy zamordować. Jego i matkę. Trupy chciałem ukryć w szafie. W szafie są robaki...

Zasłoniła swą dłonią jego usta. Zawsze to robiła, gdy Piotr mówił o śmierci, umieraniu i zabijaniu.

— Kocham Cię.

Ciepła dłoń powędrowała ku górze. Głaskała gęste, jasne włosy a jemu było dobrze być głaskanym. Ta dłoń wszystko tłumaczyła. Wszystko rozjaśniała.

— Trzeba miłości samarytańskiej do kogoś takiego jak ja...

— Piotr, ja chcę — powiedziała, patrząc prosto w okrągłe oczy wystraszonego światem dziecka, wyraźnie i powoli, aby zrozumiał — Nie ma takiego ciężaru, którego nie mogłabym unieść. Nie można żyć, nie poświęcając siebie.

— W imię czego?

— Niczego — odpowiedziała lekko i śpiewnie. Tylko w jej ustach słowa »nic«, »nicość«, »niczego« stawały się jasne i ciepłe — Niczego. I właśnie to jest cała istota poświęcenia.

— A jeśli mój ojciec wsiąknie we mnie, zamieszka, zacznie oddychać, chrząkać, płuć, krzyżeć, chodzić, wyglądać... jeśli stanie się mną?

— To ja to wytrzymam. Uniosę. Nie ma takiego ciężaru, którego nie potrafiłabym unieść.

W tym przytuleniu wyglądali oboje jakby zrośnięci, złączeni odwiecznie w swych dwóch, młodych życiach, które dawały teraz jedno życie, wspólne, nierozdzielne. Nierozdzielnie trwali w tym uścisku.

— Nie puszcze Cię — mówiła, powstrzymując tę wielką falę — Nie puszcze.

# Nikt stamtąd nie wrócił

Szcypior poznał Ewkę w odpowiednim momencie. Byli sobie nawzajem potrzebni. Niezbędni. Szcypior znał miłość romantyczną, książkową, poetycką. Ewa oprócz książkowej знаła również miłość zwyczajności, czyli taką, która jest najprostsza, lecz najtrudniejsza. Miłość codzienności. Ewka wychowała Szcypiora. Kiedy odeszła, poczuł się osierocony.

Raz stał z nią na skraju przepaści. Patrzyli oboje lęklivymi oczami w bezkresną otchłań, gdzie czekała tylko śmierć. Jeden skok dzielił światło od ciemności. Dwie strony. Czern i biel. Jeden skok po nicność.

— A gdybym skoczyła — zapytała — Zrobiłbyś to samo?

— Z Tobą nawet do piekła.

I jakoś trudno było mu się później przyznać, że kiedy Ewka zniknęła w ciemności, on stanął, patrzył zdziwiony, przestraszony. Aż w końcu wzruszył ramionami i poszedł sobie. Tak po prostu. Nie dotrzymał słowa.

*„Z Tobą nawet do piekła. Raz śniła mi się ona, znów nad tą przepaścią. Znowu powtórzył się ten sam dialog między nami. A jednak usłyszałem wtedy od niej jeszcze inne słowa. »Nawet jeśli ja odejdę pierwsza, większym dla mnie dobrem będzie, jeśli będziesz żył. Dla mnie żył. Dalej żył. Spróbuj. Dla mnie.« Albo taki sen, w którym osłania mnie przed śmiertelnym strzałem. Nie wiem naprawdę, jak to traktować. Może jako znak z zaświatów. Że ona czuwa? Kurwa, co mi z czuwania, skoro nie mogę bez niej tutaj... nie mogę”.*

— Co to tu rrobi? — Jolanta bez ostrzeżenia wkroczyła do gabinetu

Szcypiora, kiedy ten pochylony nad kartką z długopisem w dłoni siedział i myślał — Co Ty tam znowu bazgrrrasz?

— Za dużo pytań zadajesz — odwrócił się do niej, a przed oczyma stanęło mu czarno-białe zdjęcie. Błady, uśmiechnięty chłopiec z bujną czupryną, a obok niego czarnowłosa, chuda, już nie dziewczyna, a jeszcze nie kobieta. Uśmiech jej rozjaśniał tę czarno-białą, fotograficzną rzeczywistość. Oni na plaży, wśród piasku, półnaczy, jeszcze wszystko przed nimi i nic za nimi. Czy mogli mieć wtedy 18 lat?

— Odpowiadaj! — zdjęcie drżało w dłoni Szcypiorowej. Szcypiorowa drżała. Wszystko drżało. Jej twarz purpurowa, a na jej twarzy grymas pogardy. Dziewczyna ze zdjęcia nadal była uśmiechnięta. Jakże to ze sobą kontrastowało niebezpiecznie!

— Czy moja przeszłość może zrobić Ci krzywdę?

— Nie pierrrdol! — Ten gniew był bezpodstawny, desperacki, lecz jakże szczery. Oprócz przekleństw Szcypiorowa wypływała w stronę męża żółtą, obślizgłą maź. Zazwyczaj nie można jej zmyć. Zostaje ona na zawsze w człowieku.

— Kiedy stoisz nade mną — powiedział Szcypior — a ja siedzę, to w takiej sytuacji masz przewagę. Przewyższasz mnie we wszystkim. Ja nie mogę nawet wstać i zrównać się z Tobą. Czuję się jak uczeń...

— Nie gadaj mi nic o żadnych uczuciach! To zdjęcie — i zaraz poczęła wymachiwać fotografią, jakby parzyła palce, a zarazem jakby przykleiła się do niej — Żadnej fotografrrrafi z tą lafirryndą w moim domu!

— La... la... firyndą?

— Kurrrrwą!

I przedarła fotografię na pół. A tak idealnie przedarła, że Szcypior z Ewką zostali rozdzieleni. Teraz oboje siedzieli na plaży, lecz osobno. I znowu poczęła drzeć. Na cztery, na osiem, na szesnaście, a darła z tak wielką pasją i zaangażowaniem, że Szcypior nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo można nienawidzić. Darła drobne skrawki na jeszcze drobniejsze, a te opadały lekko na podłogę. Kawalek policzka, kawałek włosów, kawałek nieba, kawałek piasku. Szcypior siedział. Siedział i patrzył, jak żona wszystko kawalkuje. A kiedy skończyła swoje mozolne dzieło, zdyszana, czerwono-twarzowa, nic już nie powiedziała i wychodząc, trzasnęła drzwiami.

A gdy zamknęła drzwi i kroki zaczęły słabnąć, oddalając się i gdy uchyły zupełnie, Szczypior rzucił się do strzępków, uklęknął i na kolanach zbierał okruchy zdjęcia, fragmenty rozproszone, które nic już nie pokazywały, które zbyt drobne były, aby złożyć je w całość.

*„Po ślubie z Jolantą w domu zaczęły dziać się dziwne, niewytłumaczalne zjawiska. Otwierające się samoistnie drzwi i okna, tłuczone samoistnie talerze i szklanki. W księżkach znajdowałem zdjęcia Ewki, chociaż byłem przekonany, że na pewno wszystkie spałilem. Chciałem wierzyć, że to coś znaczy. Że Ty, Ewko Moja, tłuczesz te talerze. Że Ty wkładasz niepostrzeżenie te zdjęcia do książek. Że jesteś przy mnie. Zawsze”.*

— Pani Malinowska, co Pani czyta?

Malinowska, zdając sobie sprawę, że została nakryta na czytaniu, przycisnęła książkę do piersi, jak gdyby stanowiła najcenniejszy skarb, który trzeba chronić przed światem.

— Panie Szczypiorku, proszę mi nie zabierać!

— Ja wcale nie chciałem Pani zabierać... jestem tylko ciekaw, co Pani czyta — wytłumaczył Szczypior i z uśmiechem usiadł na łóżku obok Malinowskiej. Kiedy ujrzał zawartość książki, jego uśmiech zniknął i przerodził się w wyraz głębokiej zadumy.

— To »Kwiaty Polski i Świata« — objaśniała — Ale Pan nikomu nie powie, prawda?

— Słowo honoru! — obiecał Szczypior i oglądał wraz z nią książkę o kwiatach i chociaż cierpiał podczas oglądania, nie chciał Malinowskiej zrobić przykrości.

— To są fiołki, »viola«, tutaj forsycja, nagietek, a tutaj bez czarny, »sambucus nigra«. Kiedy stąd wyjdę, to otworzę własną kwaciarnię i te wszystkie kwiaty będę miała u siebie... a tutaj, niech Pan zobaczy, tutaj najpiękniejsza. Róża, »rosa«. Lubi Pan róże?

— Chyba nie mam wyjścia!

| „Róże”.

*„Tymczasem jestem w tłumie. Otoczony belkotem z wszech stron. Nie ma gdzie uciec, gdzie się udać. Nie ma miejsca na ziemi, aby pomilczeć. Mnie nie ma. Chociaż*

*niby ktoś jest, kto ma moje imię i nazwisko, ale to jest nikt. Na pewno nie ja. Wprawdzie staram się egzystować, mówić, pracować, zachowywać pozory, grać, lecz ileż jest prawdziwego mnie w tej grze? Aktor to pogarda dla piękna świata. Piękno to prawda. Prawda zaduszona, pijana kłamstwem. Aktor to kłamstwo”.*

# ...choć zawsze było ich niewielu (...)

— Halo, słucham? — głos w słuchawce wydawał się szorstki, wymęczony. Głos Ludwika Barszcza zabrzmiał w tym momencie, jakby odstraszająco. „Słucham” nie było słuchające. Raczej żegnające.

Mimo początkowej niepewności, Szczypior zaczął:

— Uszanowanko! — chciał zmusić siebie do chociaż nieudolnego udawania młodzieńczego entuzjazmu, z dość miernym skutkiem — Piotrek się kłania.

— Piotr, Filozof! — głos Ludwika jakby minimalnie ożywiony — Co słychać?

A więc powitał go najstraszniejszym pytaniem, jakie mogło zostać zadane Szczypiorowi. Przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób na to pytanie odpowiedzieć. Pustka zupełna. Zastanawiania nie ułatwiały dziecięce głosy w tle, zlewające się z głosami płynącymi prawdopodobnie z odbiornika telewizyjnego.

— Słuchaj — nieśmiało zaczął i coś jasnego obudziło się w nim. Poczul, że to chyba nadzieja. Nadzieja na wysłuchanie, na ratunek być może. Spotka się z Ludwikiem Barszczem, chociażby w kawiarni »Violette«, pogadają o książkach, Szczypior wreszcie będzie miał okazję wygadania, wylania wszelkich żalów, podzielenia się z przyjacielem swoimi wątpliwościami natury egzystencjalnej. Ludwik natomiast pomyśli i znajdzie wyjście z każdej sytuacji. Zupełnie tak, jak dwadzieścia lat temu.



- Słuchaj, Ludwik. Mam poważne problemy.
- Jak bardzo poważne?
- Dla mnie najważniejsze na świecie. Od dłuższego czasu...
- Masz raka?
- Nie.
- Dom Ci się spalił?
- Nie.
- Komornik na karku?
- Nie.
- Córka się puściła i trzeba zrobić mały zabieg?
- Nie. Jeszcze nie.
- No, to w czym problem?

Wraz z tym pytaniem, całe światło, nadzieja i entuzjazm — w jednej chwili to wszystko uleciało ze Szczypiora. Pozostało tylko przygnębienie.

— Wiesz, tutaj chodzi o coś znacznie, znacznie, znacznie...  
 — Znacznie co? — głos Ludwika wydawał się być już zniecierpliwiony, jałową i zupełnie nierzeczową paplaniną Szczypiora. W słuchawce narastały dziecięce głosy „Zaraz, zaraz pójdziemy!” — Ludwik uspokajał głosy dziecięce.

— Czy możemy się spotkać? Mógłbym Cię odwiedzić, dajmy na to, w piątek.

I już wiedział, że nie będzie to możliwe. Wiedział, że Ludwik zaraz odmówi i już więcej ze sobą nie porozmawiają. Tak musi być. Historia przyjaźni wszędzie jest jednakowa.

— Słuchaj, Szczypior. Ja już teraz nie mam tyle wolnego czasu. Sam rozumiesz. Rodzina, trzecie dziecko w drodze, dużo pracy. Cholernie dużo, normalnie to czasem już nie wyrabiam...

Gdy tak Ludwik tłumaczył się niczym przestępca, próbujący usprawiedliwić swoje brudne czyny pobudkami moralno-wyższymi, Szczypior pomyślał

*„Kurwa, czy Ty nie możesz po prostu szczerze powiedzieć mi, że nie chce Ci się ze mną gadać?”*

— ...a Brajan chce drona na komunię, więc sam rozumiesz...

— Nie! — przerwał wreszcie ten słowotok — Nie rozumiem i nigdy tego nie zrozumiałem.

Trzasnął słuchawką.

*„Ciężko jest myśleć, jak niewiele teraz łączy nas z kimś, z kim kiedyś łączyło nas tak wiele”.*

# Wszystko dzieje się w głowie

Śmiech to zdrowie w chorym świecie. Szczypior usłyszał z kilku szpitalnych pokoi naraz przeraźliwe, opętańcze, bezwładne śmiechy zdrowych na chorobę a chorych na zdrowie. Śmiech wariatów. Jak im było dobrze! On nie miał się z czego śmiać. Życie pozbawione szczypty kabaretu. Życie jako szekspirowski, szczypiorowski, ciężki dramat.

Korytarz był długi, ciemny, z każdą chwilą zacieśniający się. Pokoje puste, wilgotne. Grzyb i zgnilizna oplatała ściany, po podłogach przewalały się starocie, książki, jedzenie dotknięte procesem gnilnym. Na końcu korytarza biały pokój z lustrem. Tylko lustro w pokoju. Szczypior stanął przed lustrem. Dostrzegł w nim Młodego Człowieka, dumnego, życiopełnego, kpiącego.

— Kim jesteś? — zapytał Szczypior.

— Tobą.

— Mną?

— Tobą, kiedy jeszcze byłeś.

— Przecież jestem.

— Ciebie nie ma. Ty jesteś tylko aktorem

— Człowiek się zmienia — Szczypior zwiesił wzrok, wstydliwie, jak dziecko tłumaczące się nieskładnie i nieumiejętnie z dziecięcej zbrodni. Próba wytłumaczenia się ze zdrady. Czy można wytłumaczyć się ze zdrady?

— Przegrałeś. Bo chociaż przeżyłeś dopiero czterdzieści jeden zim, to już jesteś kaleką.

Szczypior słuchał uważnie Człowieka. Słuchał swojego Sumienia. Zgadzał się z nim.

— Ty istotnie jesteś Człowiekiem. Ty przypominasz mi, że tak wiele wiem, ale już nic nie czuję.

Zamilkli i przez około minutę milczeli. Minuta ciszy nad nimi. Nad ich życiami, które dawało jedno życie, a to życie przemieniło się w dwie śmierci, śmierć. Śmierć na jawie.

— Jest tu ktoś ze mną — przerwał ciszę Młody Człowiek z lustra — Ktoś, kto Ci powie wszystko.

Młody Człowiek znikł. W jego miejsce pojawiła się istota o ponętnych, kobiecych kształtach. Widziana, jakby przez mgłę. Kobieta mogła być hologramem, trwającym tylko kilka sekund z wieczności. Jakby była tylko projekcją. Z lustra, wody, z kruchej szkła. Nietrwałość. Usta miodowe, zmieszane z krwistością malin, a może tylko krwi odpływającej z mięsa. Piers obnażona, niewielka, drobna. Na drobnej piersi rana. Z rany wylała się czerwona ciecz. Spłynęła poprzez płaski, antyczny brzuch, plamiąc suknię z fragmentów śnieżnych chmur. Spłynęła poprzez łono, nogi mające coś z rzeźb klasyków. Rana pulsująca na sercu Kobiety.

— Kim jesteś?

— Czy to ważne? Chyba nikim.

— Zupełnie jak ja. A jednak wydaje mi się, że gdzieś już Cię widziałem.

— Tonie niemożliwe. Nigdy nie mogłeś nikogo zobaczyć. Ani ja nie mogłam. Ty tylko chciałeś mnie widzieć. Potrzebowałeś mnie, wymyślałeś mnie na nowo, kochałeś się ze mną, brałeś mnie na swoje dalekie wyprawy. Jednak zawsze byłeś tylko tutaj. Tylko tutaj ze swoją rodziną, pracą i samochodem.

— Nie możesz być dla mnie bardziej łagodna?

— Ciebie powinni zabić.

— Dobić. Ja już leżę ogłuszony.

Zniknęła.

I powiedział Człowiek, że Kobieta jest Ewą. Tym większy jest ból, gdy poznajesz Ewę, lecz ona Ciebie nie poznaje. Nie poznaje, bo człowiek się zmienia.

Ewa krzyczy „NIE ŻYJESZ BEZ ZDRADY!”.

„Jeśli się utopisz — zjedzą Cię ryby. Jeśli się otrujesz — zjedzą Cię szczury  
Jeśli wystrzelisz się w powietrze — zjedzą Cię ptaki.  
Jeśli umrzesz śmiercią naturalną i pochowają Cię w jednym z tych gro-  
bów — zjedzą Cię robaki.  
Jeśli nie umrzesz i będziesz kontynuować swój podły żywot nieświętego —  
przyjdą po Ciebie ludzie i zjedzą Cię żywcem”.

# Światła zbyt często się zmieniają

*„To pierwszy tak szczęśliwy dzień od czasów niepamiętnych. Rozmawiałem z Chantal! Ale rozmawiałem jednocześnie tak niezwykle i jaskrawo, że wydaje mi się teraz, jakby ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Chantal jest taka otwarta na świat i na ludzi, że ta otwartość jakby mi się jeszcze udzielała i myślę przy niej znowu jak dwudziestolatek. Może jest jeszcze szansa na życie? W każdym razie nie czas teraz na pytania, wątpliwości. Rozmawiałem z Chantal i tego mi nikt nie zabierze i to jest coś, czym będę żył przez najbliższy tydzień lub dłużej. I nawet żona i wszyscy nieświęci nie zepsują mi mojego dobrego humoru. Swoją drogą, zapomniałem już, jak to jest mieć dobry humor. Teraz ten błogi stan powraca i jakoś muszę się do niego powolutku przyzwyczajać.*

*Ach, ile bym dał, ażeby przyzwyczajać się tylko do takich rzeczy!”*

Dwa miesiące, przed tym, co się miało wydarzyć.

Tego dnia, jak zwykle po pracy udał się do »Violette« na kawę i ciastko. Siedział i patrzył na hipnotyzujące, fioletowe lampki, które wprawiały go w dziwny rodzaj melancholii. Czasem patrząc w blask owych światełek czuł, jak gdyby miał zostać tu, w tym lokalu, przy tym samym stoliku, od kilku lat stałym, ulubionym miejscu (dla Szczypiora ważne były takie detale) już na zawsze i tak patrząc, nie myśleć o niczym a tylko czuć melancholię, która przecież zła w zbyt dużych ilościach, czasem niezbędna jest, aby nie zwariować.

— Pobrudził się Pan! — miękki, dziewczęcy głos wyrwał go z Wielkiego Fioletu, lecz nie tak brutalnie, jak głos żony wyrwał z błokiego snu.

To wyrwanie było zgoła inne. Już oburzony wykrzyzczyć miał „Jak śmiesz?!”, gdy zobaczył przed sobą tę najpiękniejszą kelnerkę ze wszystkich kelnerek, która wszystko zrozumie, wszystko wybaczy i całą tragedię świata obróci w żart. Przez chwilę jednak nie rozumiał niczego, co Chantal powiedziała.

— Może Pani nieco rozjaśnić?

— Tego chyba tak dosłownie nie potrafię. Chciałam tylko powiedzieć Panu, że Pan się pobrudził kremem z ptysia.

— Ach, no tak! — powiedział z ulgą i zaczął wycierać twarz, z nieukrywanym wstydem, bo zawsze niezdarzy był przy kobietach — Widzi Pani, tak to już jest, że nie można tak zupełnie być czystym. Zawsze się trzeba pobrudzić.

— Pan to tak filozoficznie powiedział — wyrzekła zarumieniona — Pan jest pewnie pisarzem, albo aktorem?

Szcypior po chwili zastanowienia odpowiedział:

— W życiu przeczytałem mnóstwo książek, a napisałem tylko jedną, króciutką. Na szczęście nikt jej nie przeczyta, a jej autor nie zostanie pod żadnym względem zapamiętany. Być może tak, jak wielu z tych obiecujących pisarzy, którzy nazbyt przejmują się opinią społeczeństwa. Aktorami natomiast jesteśmy wszyscy. Pani też.

Popatrzył na Chantal. Wstydliwie opuściła wzrok i wtedy właśnie zrozumiał, że wprawil ją w niemale zakłopotanie.

Byli sami w restauracji. Mogli więc swobodnie rozmawiać.

— A więc kim Pan właściwie jest?

— Już mówiłem. Aktorem.

— Chodziło mi bardziej, czym Pan się zajmuje.

— Ukrywam się.

— Da się z tego wyżyć?

— Przeżyć. To wystarczy.

— Na jak długo?

- Póki co, idzie mi nie najgorzej. Już czterdzieści jeden lat. A Pani?
- Dwadzieścia jeden. Prawie tak stara, jak Pan!

Szczypior uśmiechnął się łagodnie.

- A więc oczko.
- Oczko? — zapytała rozbawiona.
- Black jack, oczko, dwadzieścia jeden. Taka gra karciana. Hazard.
- Jest Pan hazardzistą?
- Żeby być hazardzistą — odpowiedział Szczypior — trzeba ryzykować. O swoim życiu mogę powiedzieć wszystko, oprócz tego, że było w nim jakieś ryzyko.
- Może to i dobrze, że nie jest Pan hazardzistą — stwierdziła Chantal — Kiedy się gra o wysokie stawki, to można dużo stracić. A nawet wszystko.

Szczypior uśmiechnął się raz jeszcze, lecz teraz gorzko i tym razem nic na to nie odpowiedział.

— Ja coś może źle powiedziałam? — złękła się Chantal i natychmiast, jakby chcąc naprawić swój błąd wyrzekła — Widzę Pana od roku, od kiedy tu pracuję i podaję Panu kawę. Wybiera Pan zawsze ten sam stół. Ten sam i siedzi Pan tak długo, nie spieszy się Pan, czeka na kogoś. Ale ten ktoś spóźnia się, albo nie może przyjść. Niby nic to mnie nie może obchodzić i jestem smarkula, ale za każdym razem sobie myślę, że coś bym chciała zrobić, żeby Pan nie był smutny. Gdybym знаła tego kogoś, kto ma przyjść, a nie przychodzi, to bym go... ją znalazła i przyprowadziła.

- Naprawdę? — Szczypior poderwał się gwałtownie, rażony palącą myślą — Zrobiłaby to Pani?
- Tak.
- Przyprowadziłaby Pani?
- Tak.
- I Pani to wszystko mówi z pełnym przekonaniem? Z pełną wiarą?
- Staram się.



Szczypior wstał nagle, ujął drobną dłoń Chantal, a ona jej nie wyrwała, a on ucałował ją z namaszczeniem. A kiedy usta dotknęły jej skóry, to tak jakby umierający z pragnienia na pustyni dostał się do źródła chłodnej, krystalicznej wody. A w tym ucałowaniu była cała istota desperackiej chęci życia i żeby ktoś pomógł utwierdzić w przekonaniu, że warto naprawdę.

- Warto! Pani rozjaśniła wszystko!
- Pan jest naprawdę wariat kompletny!
- Poczytuję to sobie jako pochwałę!

*„Od pewnego czasu nęka mnie nieodparte pragnienie zgłębienia tajemnicy życia”.*

Następnego dnia wstąpił do restauracji »Violette« i siadając przy swoim stałym stoliku, czekał niecierpliwie na swoją kelnerkę. Obrót spraw nie mógł jednak wyglądać tak korzystnie jak dnia wczorajszego. O ile poprzedniego dnia sala świeciła pustkami, to dzisiaj »Violette« przeżywała prawdziwe oblężenie. Chantal biegła od stolika do stolika, nawet nie zauważając Szczypiora. Ten snuł w międzyczasie teorie spiskowe, jakoby ludzie, którzy znajdowali się w tym miejscu, dogadali się między sobą i celowo zjawili w dniu, który dla Szczypiora i Chantal miał być — kluczowy. Czekał tak około piętnastu minut i już miał wstać od stołu i postanowić nigdy więcej tu nie przychodzić (gdyby tylko potrafił przestrzegać własnych postanowień!) kiedy nagle ujrzał Chantal, idącą ku niemu, z tą samą jasną, chociaż bardziej zmęczoną twarzą i już wtedy wszystko, o czym wcześniej myślał, stało się nieistotne i nawet ludzie przebywający w lokalu stali się znośni a nawet przyjaźni.

I wtedy na kilka kroków przed „Dzień dobry, miło Pana znowu widzieć” ozwał się dzwonek telefonu. Dzwonek, który urywa wszelkie namiętności i nadzieje. Chantal zakłopotana wyciągnęła z kieszeni spodni telefon, przyłożyła do ucha, „słucham” i słuchała czasem odpowiadając krótkimi, rzeczowymi formułkami. Szczypior nie zdołał usłyszeć wszystkiego, co mówiła, na sali panował bowiem gwar rozmów, lecz on wytężył swój słuch i sam dziwił się swojej chorobliwej ciekawości.

— Dobrze. Będę. Przyjadę. Martwiłam się. Nie odzywałeś się. Nie powinienś nie odzywać się. Mi jest ciężko. Przyjść. Tak. Zwolnię się z pracy, dwie godziny. Słuchaj, muszę kończyć. Jestem w pracy.

Szczypior też musiał kończyć.

Kiedy Chantal zakończyła rozmowę i odłożyła telefon — spojrzała na szczypiorowy stolik. Człowieka, który siedział tam zaledwie przed chwilą — już nie było.

*„Od pewnego czasu nęka mnie niezodparte pragnienie zgłębienia tajemnicy śmierci...”*

# Granice

Ktoś zapukał do drzwi, które nie czekając na zezwolenie, uchyliły się i teraz zabawnie wystawała z nich kobieca, dwudziestokilkuletnia głowa:

— Przepraszam. Ja w bardzo ważnej sprawie przyszedłam...

— Jeśli w ważnej, to zapraszam — Szczypior ręką wskazał jej wolne krzesło. Ta usiadła, zaczęła się nerwowo wiercić, aż w końcu złożyła ręce, jakby do modlitwy i powiedziała nieśmiało:

— Przyszedłam w sprawie mojego... Wojtka. Wojtka Rudnickiego.

Szczypior słysząc to imię i nazwisko, zaczął szperać w dokumentach.

— Wojtek Rudnicki. Faktycznie. Mamy tutaj ciężki przypadek schizofrenii paranoidalnej. Pani jest jego...?

— Narzeczoną — kobieta wypowiedziała to słowo z niechęcią, jakby wstydząc się noszenia miana narzeczonej.

— Pani coś chce wiedzieć?

— Wszystko bym chciała, chociaż wiem, że Pan mi wszystkiego powiedzieć nie może.

— Istotnie. Nie mogę powiedzieć. Mogę służyć ewentualną radą, chociaż z tym również będzie kiepsko. Lepiej byłoby dla Pani, gdyby udała się do księdza.

Kobieta uśmiechła się chłodno i po chwili krępującej ciszy, zapytała:

— Jaki on będzie?

— Nie rozumiem.

— Chciałam wiedzieć — tłumaczy — jaki on będzie, kiedy stąd wyjdzie.

— Wie Pani — Szczypior westchnął ciężko, będąc lekko zakłopotany tym pytaniem — To jest ciężko powiedzieć. Kiedy się tu raz trafiło, to potem

w nazwijmy to »normalnym« życiu trudno się odnaleźć. Na pewno będzie potrzebował wsparcia najbliższych. Pani wsparcia. Oczywiście będzie również konieczne zażywanie specjalnych środków. Wie Pani — życie z taką osobą nie należy do najłatwiejszych, ale nikt nie powiedział, że nie jest możliwe. Zwłaszcza, jeśli kogoś się kocha — ostatnie słowa Szczypior wypowiedział trochę nieśmiało i sam przyznał się w duchu, że zabrzmiało to zupełnie nieprofesjonalnie.

— Wiem. Ja wiem, że miłość może zdziałać cuda...

— Ale?

— Ale...

— Ale są pewne granice w miłości, prawda?

— Proszę nie zrozumieć mnie źle.

— Ja nie jestem od rozumienia. Ja tylko obserwuję ludzi i wystawiam diagnozy.

Twarz kobiety przybrała wyraz całkowitego zrezygnowania. Po cóż tu przysłała? Szukać zrozumienia? Usprawiedliwiać się? Przed kim? Robiło się późno, gabinet słabo oświetlała postawiona na biurku lampka.

— Jestem młoda — powiedziała — Nie jestem gotowa na wyrzeczenia. Tutaj potrzeba miłości samarytańskiej do takiego człowieka. Ja chyba tylko siebie kocham. Swoje potrzeby. Ja pragnę żyć przede wszystkim. Rozwijać się. Mieć — daj Boże — dzieci. Poznałam kogoś i chcę szczęścia. Dla siebie, jego i naszej rodziny. Czy to jest naprawdę coś złego?

Szczypior nie odpowiadał, w głowie kołatały się tylko słowa »ja«, »jestem«, »chcę«.

Ja. Jestem. Chcę. Szczypior pomyślał, że w zasadzie tymi słowami, można określić całą istotę człowieczeństwa, stawiając przy »Jestem« duży znak zapytania.

— Chyba jednak powinna Pani iść z tym do księdza. Może on da Pani rozgrzeszenie. Ja nie potrafię. Ja nie chcę.

Dziewczyna pośpiesznie wstała i przez chwilę jeszcze pytająco spoglądała na Szczypiora łzawymi oczyma, jakby jeszcze czekając na ostatnie słowo:

— To może chociaż zechce się z nim Pani zobaczyć?

— Nie! Tylko nie to! — w tym gwałtownym »nie« było wszystko. Ostatecznie skierowała się ku wyjściu. Nagle jeszcze przed naciśnięciem klamki:

— Niech Pan się zastanowi, co by Pan zrobił na moim miejscu...

— Won!

Nie mógł przypomnieć sobie, jak długo siedział w gabinecie i jak długo blade światło lampki padało na jego kamienną, bezosobową twarz. Nie myślał o tej kobiecie, nie myślał o jej narzeczonym, nie myślał o niczym. Próbował tylko odnaleźć w swojej głowie miejsce na spokój. Na próżno.

Szedł wraz z Wójcikiem przez korytarz do chorego. Obaj byli w nastrojach podłych.

— Moim obowiązkiem jest mu nic nie mówić — powiedział Szczypior, nie patrząc w twarz Wójcika.

— To ogólnie ciężka sprawa. Ale my, my nic na to poradzić nie możemy. My robimy tylko to, co do nas należy.

— To ostatni akt miłosierdzia — stwierdził Szczypior — Kto inny może okazać im miłosierdzie, jak tylko my? Przynajmniej dać im znieczulenie, podtrzymać w słodkiej naiwności... Kurwa mać, jacy my jesteśmy nikczemni!

Wójcik nic na to nie odpowiedział i tak w milczeniu dotarli do sali, w której przebywał Rudnicki.

Zastali go siedzącego na łóżku, odwróconego od nich w stronę okna. Patrzył w ciemności za oknem, a w tym patrzeniu była tęsknota. Za czym? Za światem w ciemnościach?

*»Nie można powiedzieć komuś, kto wierzy w czekającego, że czekającego nie ma. Że nie ma już do czego i kogo wracać.«*

— Jak się czujemy, Wojtku? — zapytał Wójcik, a Szczypior w tym momencie cofnął się i ukrył za jego plecami. Nie potrafił spojrzeć na Rudnickiego. Ten odwrócił się ożywiony w ich stronę, wyraźnie uradowany ich obecnością:

— Panowie, ja was lubię! Wy jesteście najbardziej ludzcy ze wszystkich.

— Cieszy nas to, ale niech Pan lepiej powie, jak się czujemy.

— Uczucie powraca. Głosy. Nie wiem ile ich jest. Wiem, że czegoś ode mnie chcą, tylko czego? Śniła mi się Ilona. Była na wyciągnięcie ręki, ale jakby za szybą. Nieosiągalna dla mnie. To mnie bardzo zmartwiło i nie wiem, jak to wytłumaczyć sobie. Panowie może wiedzą kiedy wyjdę?

— Tak bardzo się Panu śpieszy?

— Do Ilony się śpieszy. Ożenię się z nią i będzie nam jak w niebie. Tylko muszę stąd wyjść!

— Ja też muszę wyjść — Szczypior wyszeptał do Wójcika — Nigdy nie nadawałem się do tej roboty...

Wziął wszystko, co jest potrzebne. Przebrał się i z teczką pod pachą skierował ku wyjściu.

Poczuł na ramieniu silną, stanowczą dłoń, zaciskającą, stawiającą do pionu. Nie musiał odwracać się, aby rozpoznać człowieka, który stał za jego plecami.

— Staraj się na przyszłość nie okazywać wszystkiego, co w Tobie siedzi. Przynajmniej tutaj.

— Wiesz, że tego nie potrafię.

— A czy Ty cokolwiek potrafisz?

— Przekonamy się już niedługo.

— Szczypior, jeśli myślisz, że to jest jakieś wyjście...

— Przyjacielu — przerwał mu głosem ciepłym i żarliwym — Na tym świecie już chyba tylko Ty mi pozostałeś. Ty jesteś głosem mojego sumienia. Chodź ze mną, napijemy się wódki. Urzniemy, zapomnimy. Chyba nie odmówisz umierającemu?

— Ty jesteś zbyt wielkim egoistą, aby obdarzyć kogoś przyjaźnią. Miłością. Jesteś człowiek podły i tchórzliwy.

— Widzisz, jak pięknie! Tobie pozostaje z tego wszystkiego tylko głupota. Żyj sobie i umieraj w głupocie. Życie wymaga odwagi podszytej głupotą!

— I po co Ci to wszystko? Myślisz, że jak kobieta Ci umarła, to masz prawo do cierpienia większego niż cierpienie innych? Gównno. Nie masz żadnego

prawa. Ludzi na całym świecie nękają potworności, o których sobie nawet nie wyobrażasz. Potworności, przy których śmierć Twojej kobiety to blahostka. A oni nadal żyją, śmieją się, płaczą, umierają.

— No właśnie. Umierają. Wszyscy, bez wyjątku. Zrozum mnie, Drogi skurwysynie, Przyjacielu, że to życie dla mnie jest jak agonia rozciągnięta w czasie, podczas której śmiejemy się płacemy, chociaż częściej chyba płacemy i to wszystko. Nie widzę większych powodów do śmiechu. Ci ludzie, o których mówisz znęcają się nad bliźnimi, zdradzają, zabijają, kłócą się o politykę, osądzają, kłamią, pozbawiają złudzeń i oczekują za to nagrody w Niebie! Te świry tutaj — oni są święci. Tylko oni. Oni nie chcą żyć wśród cierpiących na całym świecie. I ja jestem z nimi. Jestem jednym z nich.

Dłoń Wójcika osłabła, ześlizgując się z ramienia Szczypiora, pozwoliła mu odejść. Lecz jeszcze doszedł do niego głos z głębi korytarza. Głos największego Racjonalisty, jakiego poznał.

— Przyjacielu. To jest racja, ale gówno prawda.

# Zamknij drzwi i nigdy tu nie wracaj

Przed szpitalem zobaczył człowieka z jasną twarzą (to nowość, bo wokoło same szarości). Nerwowa, uśmiechnięta twarz człowieka, który wygrał przegraną walkę. Powtarzał coś stale pod nosem, jakby wywieszoną formułkę, której wyuczenia nie do końca był pewien. Szczypior przyjrzał się zbliżającemu doń człowiekowi i przypomniał sobie, że raz gdzieś już go widział.

*„Stał na moście. Cóż On mógł mnie obchodzić ze swym złamanym życiem i nieodpartą chęcią zakończenia go w sposób najbardziej dla Niego odpowiedni? Cóż mogły Go obchodzić moje moralizatorskie frazesy, o tym że żyć trzeba, bo wszystko może się jeszcze odmienić? W gruncie rzeczy, to czy ja w to wierzę? Czy sam nie dałbym komuś w mordę za takie słowa wypowiedziane w moją stronę? Jednak On dokładnie wysłuchał i uwierzył, że coś jeszcze jest warte tego, aby rozluźnić sznur samobójczy, rozplątać węzeł, dołączyć do śpiewających hymny pochwalne na cześć przywróconego życia. Cóż On mógł mnie obchodzić? Dałem mu sto złotych. To nic. To prawie tak, jakbym nic mu nie dał. A jednak — ten jeden zielony banknot może zdecydować czasem o całej wieczności.*

*Lecz... czy ja naprawdę w to wszystko wierzę?”*

- Dzień Dobry!
- A jednak wybrałeś życie.
- Pan pamięta? Ja myślałem, że Pan już zapomniał. To było przecież tak dawno.
- Ja pamiętam wiele. Czasem zbyt wiele. Ale to nieważne. Opowiadaj lepiej, co ciekawego w życiu?
- Ja przyszedłem Panu podziękować.



— Nie musisz. Ja nic nie zrobiłem. Ty sam siebie uratowałeś..

— Z Pana wielką pomocą. Pan jest skromny i nie przypisuje sobie żadnych zasług, ale proszę sobie pomyśleć, co by się stało ze mną, gdyby Pan wtedy mnie nie zatrzymał. To, że Pana spotkałem, to coś znaczy. Ja... chciałbym się odwdziżyć.

*„Naprawdę, nie chciałem od niego nic. Chciałem tylko, żeby sobie poszedł. Ale kiedy pomyślałem sobie, że właściwie będę sam przez resztę dnia i być może przez resztę życia to...”*

— W zasadzie to dobrze, że Cię spotkałem tutaj. Na mnie nikt nie czeka. A kiedy nikt na mnie nie czeka... to idę do jedynego miejsca w tym mieście, gdzie można uciec.

Na parkingu stała jego błękitna bestia na czterech kółkach. Nagle jedna, paląca myśl pojawiła się w głowie.

— A, tam! — machnął dłonią.

W drodze młody człowiek opowiedział o tym, co zdarzyło się po ich spotkaniu na moście. Otóż krótko potem znalazł pracę, niezbyt dobrze płatną, ale taką, która wystarcza na godne przeżycie. Jednak przede wszystkim znalazł kochającą kobietę, z którą zaręczył się i teraz zaprosił Szczypiora na swój ślub, który odbędzie się za miesiąc.

*„Piękny gest. Jednak zmuszony byłem odmówić. Pamiętam swój ślub deszczowy, który miał w sobie więcej z pogrzebu. Ślub był jednocześnie moim pogrzebem. Jemu życzyć wielkiego słońca. Niech ma coś od życia”*

Zamówili dwa piwa (na Szczypiora nikt nie czekał, więc wolno mu było przynajmniej raz się napić) i zaczęli rozmawiać. O życiu. Dobrego człowieka poznać można po tym, że się rozmawia z nim o życiu. Nie o pogodzie.

Do stolika podeszła Chantal, niosąc dwa duże kufle napelnione piwem. Była ciągle piękna, lecz w tym momencie bardziej smutna, zgaszona. Mniej-

sza. To dziwne zmniejszenie, bo kobiety zazwyczaj z upływem czasu rosną, aby na końcu przerosnąć mężczyzn o głowę, a nawet dwie.

Chantal — nie wiedzieć czemu — spojrzała na Szczypiora oczyma błagającymi, żebrzącymi o łyk pomocy, zrozumienia. Dopiero chwilę później doktor dostrzegł fioletowe znamię pod okiem Chantal. Ta zwiesiła wstydliwie wzrok i cicho powiedziała:

— Narzeczony. — Było w tym cichym „narzeczony” wszystko. W szepcie był krzyk rozpacz.

Szczypior zrozumiał wszystko. To narzeczony pomniejszył wiśniową Chantal. On zasmucił i wymalował ręcznie śliwkowe blizny na białej skórze. Szczypior zauważył również inną, ważną rzecz, której wcześniej u Chantal nie dostrzegł, lub nie chciał dostrzec. Ten smutek wymalowany na twarzy, grymas bólu życia. Gdzieś wcześniej już to widział. Czy to możliwe? „*Chyba nie. Nonsens!*”

Zrodziła się w nim nienawiść do narzeczonego Chantal, chociaż być może nigdy nie widział go na oczy (*co wcale nie przeszkadza mi go nienawidzić!*). Wziął łyk zimnego piwa i zapytał młodego człowieka, siedzącego naprzeciw:

— A więc uważasz, że jestem dobrym i szlachetnym człowiekiem, który uratował Ci życie, tak?

— W samej rzeczy!

— Tak — uśmiechnął się pod nosem Szczypior, lecz nagle twarz jego przybrała niespotykany dotąd wyraz powagi — A ja powiem Ci, że to gówno prawda. Chcesz wiedzieć, kim jestem? Jestem tchórzem, który zaprzedał swoje ideały dla wygodnego życia. Jestem tchórzem, który ożenił się z kobietą, której nigdy nie kochał i która nigdy jego nie kochała. Jestem tchórzem, który boi się żyć, jednocześnie bojąc się umrzeć. A to, że ja Ciebie uratowałem, to nie jest dobroć. To jest przyzwyczajenie, to jest zawód. Wyciągam trupa z grobu, potrząsam nim, oblewam zimną wodą i krzyczę do niego „*Żyj, do cholery!* To nic, że jesteśmy na cmentarzu. Uśmiechaj się, palancie!”. To wszystko.

— I naprawdę nie ma w tym nic więcej?

— Powiedzmy, że jesteś frajerem. Frajerem, który dał się nabrać na wspaniałe frazesy o sensie życia. Powiedzmy, że ja jestem kapłanem, który nawraca ludzi na religię, której sam nie potrafi pojąć, którą gardzi z całego serca i po prostu — nigdy w nią nie wierzył.

— Nie — młodzieniec rzekł, jakby do siebie, niby chcąc zaprzeczyć i odepchnąć siłę, z którą, zdawałoby się nie miał szans i na którą, zdawałoby się nie miał wpływu — To nie może być tak wszystko cyniczne, jak Pan mówi. Pan jest dobrym człowiekiem.

— Dobroć nic tu nie ma do rzeczy. Zresztą, pożyjesz i sam zobaczysz, że dobroć przed niczym nie ratuje, a nawet szkodzi. Jeśli Twoje oczy widzą więcej niż inne, widzą cały ten gnój, jaki zostawia po sobie ludzkość — to lepiej już teraz je sobie wydlub. Tak będzie zdrowiej i lepiej i lżej dla Ciebie. Z całego serca to mówię, bo naprawdę lubię Cię, chłopcze. A rzadko się zdarza, abym kogoś lubił naprawdę.

Zamilkli.

Po trzecim piwie Szczypior zmarszczył brwi. Świat zaczął się rozmazywać. Rozmówca jakby za mgłą.

— A założmy, że się żyje z nią i nagle ona odchodzi. Pstryknięciem palców, mrugnięciem chwili, odchodzi i nagle jej nie ma. A co to znaczy, że nie ma?

— Że przestała istnieć.

— Dla nas przestała? W mądrych książkach psychologicznych uczono, że są cztery etapy przeżywania odchodzenia bliskiej osoby. Pierwszy etap, to niedowierzanie, szok. Drugi, to niewyobrażalne cierpienie. Trzecie, apatia i obojętność. Czwartym etapem jest pogodzenie się. Po prostu pogodzenie. A ja myślę sobie, że nie ma tego czwartego etapu. Rany się nie goją i czasem nawet po wielu latach... to wszystko gdzieś w środku siedzi. Siedzi. Jak drzazga. Widok jej sztywnego ciała w kałuży krwi, które kiedyś było żywe, które miało przed sobą wszystko, a obok sztywnego ciała kwiatek. Cholerny kwiatek, który dałem jej w tym samym dniu. Czy długo cierpiała? Czy wszystko przyszło szybko i niczego nie poczuła? Nie wiem. Na jej pogrzebie ksiądz nie

silił się na cyniczne pustosłowie o tym, że siedzi po prawicy, czy lewicy Boga. Powiedział, że nie rozumie, nie może pojąć tej bożej decyzji.

— A jeśli nie ma Boga... to kto decyduje?

Szcypior nie odpowiedział. Tak naprawdę Boga nigdy dla niego nie było.

*„A może w tym właśnie jest cała Istota? Że gdyby klękając, posypać głowę popiołem, w świątyni wśród pospólstwa doznać ekstazy, oczyszczenia. Posłuchać kazania kapłana, że aborcja nie, arabowie nie, eutanazja nie, pracować i rodzić i umierać po bożemu w pocie czoła. W radości zmartwychwstania. Może wtedy zrobiliby mi się lepiej? Więcej kawałów w zanadru naprawdę nie mam”.*

Podniósł się ociężale, założył szarą, znoszoną marynarkę i żegnając się, zwrócił do młodego człowieka:

— Pamiętaj, żeby mocno kochać swoją kobietę i dzieci. Więcej Tobie nie trzeba.

Odchodzi.

Pogrążona w dziwnym rodzaju smutku Chantal stała, podparta o ścianę i wydmuchiwała śnieżny, papierosowy dym. Szcypior podszedł do niej i bez trudu wyciągnął papierosa z wiśniowych ust, rzucając go na ziemię.

— Jest Pani zbyt ładna i zbyt mądra by palić. Zresztą, dym szkodzi na cerę!

— Ja... tylko tak czasem zapalę, kiedy nerwowo mam w życiu — głos jej był łamliwy, płaczący. Wyglądało na to, że Chantal miała bardzo nerwowe życie. Częściej niż czasem.

— Ja go nie Kocham — wyznała — związałam się z nim, bo byłam sama przez tyle czasu... a on... myślałam, że jest dobry. Ale nie... on mnie bije coraz częściej.

— Dlaczego więc nie odejdzie Pani od niego?

— Gdyby to było takie proste! Rodzina, znajomi, wszyscy myślą, że on jest takim dobrym, idealnym facetem. Gdybym odeszła od niego, wszyscy

by się odwrócili. A najgorsze jest to, że on potrafi świetnie grać. Kiedy gdzieś wychodzimy, to jest miły, kocha wszystkich ludzi i zwierzęta... a przecież życie prawdziwe rozgrywa się w czterech ścianach. A tam... — Chantal z trudem powstrzymała publiczne łzy. Szczypior znowu dostrzegł w niej coś znajomego. Dziwny cień przemknął. Cień kogoś sprzed lat.

Szczypior wyciągnął plik banknotów i dyskretnie wsunął go w kieszeń spodni Chantal. Szepnął jej do ucha.

— Póki jesteś młoda i póki nie jesteś z nim w ciąży — uciekaj stąd! Od nich wszystkich. Gdziekolwiek. Tam zacznij nowe życie. Z czystą kartą zacznij.

— Ale... ja nie wiem. Czy sobie poradzę?

— Poradzisz — Szczypior miał głos pewny i pełen wiary — Weź to. Powinny wystarczyć.

— A Pan?

— Co ja?

— Panu nie żal pieniędzy na mnie?

— Widzisz, ja pieniędzy już nie będę potrzebował. Ty jeszcze możesz wszystko zmienić, ja już nic. Ty żyjesz jeszcze. Ja już nie.

— Ja... nie wiem — nagle w oczach Chantal pojawił się znajomy, dziwny błysk radości, błysk życiopelny — Ja nie wiem, jak mam dziękować.

— Ja też nie wiem...

— A... czy Pan przypadkiem się we mnie nie kocha?

— Kocham? Ma Pani rację, jest w tym coś. Przecież przypadkowej kobiecie nie daje się swoich oszczędności. Kiedyś... może. Dziękuję za wszystko Pani... właściwie to nie wiem, jak ma Pani na imię!

— Ewka.

Szczypior odszedł krok do tyłu.

— Tak... dziękuję!

Roztrzęsiony Szczypior wszedł schodkami do góry. Z ciemności do światła. Chociaż on ciągle widział przed sobą tylko czarną plamę. Wyszedł na ulicę. Zatrzymał się. NIC NIE WIEDZIAŁ.

# Spokój?

— Teraz sobie myślę — mówi do mnie Ewa — Chantal — Żeby za nim biec, dogonić go. Powiedzieć „kocham Pana, niech Pan zostanie ze mną, wyjedziemy razem, będzie dobrze”, ale — Łza spływa po policzku — Złe miejsce, zły czas. Dlaczego życie niektórych ludzi przypomina antyżycie?

Nie potrafię jej odpowiedzieć. Siedzimy oboje w restauracji „Fin de Monde”. Paryż deszczowy. Zamówiliśmy dwie kawy, które już dawno wystygły. Rozmawiamy o doktorze Piotrze i o życiu. Kilka stolików dalej siedzi Michał z Marianną. Kłóć się o przeszłość. Jeszcze nie wiedzą, że opiszę ich w debiutanckiej książce „AntyCzłowiek”. I dobrze. Niech sobie tak trwają w słodkiej nieświadomości.

Który to już raz, spogląda na gazetę, rozłożoną na kawiarnianym stoliku? W gazecie artykuł. Drukowane litery krzyczą „POMAGAŁ INNYM. SOBIE NIE POTRAFIŁ”. Artykuł traktuje o samobójczej śmierci psychiatry, doktora Piotra S. Kolejna łza. Kolejna. Kolejna.

Ciemność.

# Posłowie

Przyszła czas na nieudolne tłumaczenie się z popełnionych zbrodni przeciwko literaturze, poezji i wszystkiemu, co święte. Przyszła czas na tłumaczenie się ze wszelkich moich błędów, nieumiejętności prowadzenia właściwej fabuły, naiwności (z której w tym utworze wyrastam, chociaż z naiwnością całkowicie pożegnać się nie można) i z tego dzieła, nad którym pracowałem przez rok, dziwny rok, zaskakujący rok. W tym czasie zrozumiałem, że raczej nigdy nie napiszę nic, co mogłoby się spodobać szerszej publiczności, ponieważ uwielbiam wprost komplikować, szokować, zdumiewać a przede wszystkim rozczarowywać ludzi żądnymi kolejnych zgrzebnie opowiedzianych historyjek, których układać nie potrafię, a jeśli się kiedyś nauczę, to będę je komplikował, stawiając zawsze na pierwszym miejscu głównego bohatera i jego chorą lub zdrową głowę i to, co w niej zachodzi.

Oddaję w Państwa ręce »Ewkę«, moją drugą książeczkę. Jest to druga część »Anty — trylogii«, z pozoru całkiem odmienna od poprzedniczki, lecz jakże bliźniaczo podobna. Taki model powoli wychodzi z tego wszystkiego, że główny bohater musi zawsze być na „nie”, a ludzie wokół niego muszą być na „tak” i wchodzić mojemu bohaterowi ze swoim „tak” na głowę. Tylko my możemy opowiedzieć się po jednej ze stron. Czy ja jestem bardziej na „nie” czy na „tak”? Nie wiem. Być może łatwiej jest nie wiedzieć. Być może łatwiej zadawać jest pytania. Pytania, na które nigdy odpowiedzi nie poznamy — i dlatego są tak atrakcyjne i wygodne dla Nas.

Chciałbym — jako autor — mieć świadomość dobrze wykonanej pracy. Świadomość stworzenia dzieła skończonego (nie mylić z »dziełem doskonałym«), uchwycenia całej kwintesencji ludzkiego istnienia, chociaż zdaję sobie sprawę, że na niespełna osiemdziesięciu stronach nie sposób opisać wszystkiego. Żywię jednak nadzieję, że każde słowo uchwycone w tym utworze jest po coś, że nie ma tutaj przypadku.

Kim jest tytułowa Ewka? Również nie wiem. Interpretację pozostawiam czytelnikowi, on będzie najlepiej wiedział, co z Ewką zrobić, jak ją potraktować. Na pewno Ewka jest nieuchwytna. Szczególnie dla tych, którzy wyczekują jej i pragną.

Kreując postać Szczypiora, myślałem o wszystkich tych ludziach, którzy kryją się przed sobą, uciekają w wir pracy, aby zabić niewygodne myśli. Uciekają od swojego życia, doskonale zdając sobie sprawę, że zupełnie nie mogą od niego uciec, bo coś każe im wracać w niektóre miejsca, do niektórych ludzi i wspomnień. Jesteśmy więźniami, którzy myślą, że są zupełnie wolni. Prawdopodobnie Szczypior jest w każdym z Nas.

Przepraszam bardzo wszystkich za tę książkę. Mam nadzieję, że była ona chociaż mniej koszmarna od »AntyCzłowieka«. Przepraszam wszystkich tych, których uraziłem. Nie miałem tego na celu.

Jedyną osobą, którą chciałem urazić i której chciałem dopiec, byłem tylko i wyłącznie ja.

Dariusz Regulski.

### *Inne książki Dariusza Regulskiego*

»*AntyCzłowiek*« (Ridero IT, 2016) — Fragmenty dziennika, notatek, oraz niedokończonych opowiadań, tworzą wielowymiarowy portret artysty. Funkcjonowanie Dariusza we współczesnym świecie i jego próby asymilacji ze społeczeństwem spełzają na niczym. Bohater zamyka się w świecie własnych wspomnień, przemyśleń i marzeń. Jego jedynym towarzyszem jest alkoholik — Michał.

»*Szamanka*« (Ridero IT, 2016) — Zbiór 16 wierszy na tematy bardziej, mniej lub wcale nieistotne. Motywem przewodnim w »Szamance« jest kobieta. Dawczyni i złodziejka życia, anioł i diabeł, biel i czern.



Zamów już dzisiaj w wersji fizycznej lub pdf, pisząc na adres: *regulsky@wp.pl*